

# XXXIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO



ISBN 978-83-60731-28-4



ŁĘBORK, 23 LISTOPADA 2018 R.

XXXIII OGÓLNOPOLSKI  
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 23 LISTOPADA 2018 R.





## ORGANIZATORZY:

Burmistrz Miasta Lęborka  
Rada Miejska w Lęborku  
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego  
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana  
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku  
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie  
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku  
Lęborskie Centrum Kultury Fregata

## KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego  
Samorządu Powiatu Lęborskiego  
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku  
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

PATRONAT HONOROWY:



**MIECZYŚLAW STRUK**  
MARSZAŁEK  
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

PATRONAT MEDIALNY:

DZIENNIK BAŁTYCKI  
TVK KANAŁ 6

*Przemijanie*

*cisza niedaleko ode mnie  
jeszcze opadających drzew listopad  
odchodzi z liśćmi w noc  
trochę serc niepotrzebnych na ścieżce  
słów które więdną od dawna  
bez znaczenia*

*4 X 1970  
Mieczysław Stryjewski*



# Blue Poke

Aleksandra Krefit

## JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Wojciech Boros

Małgorzata Borzeszkowska

Daniel Odija

Bożena Ugowska

## LAUREACI

*Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego*  
**Barbara Zakrzewska** (Ostrołęka)

### W KATEGORII POEZJI:

*I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Paweł Podlipniak** (Radom)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku*  
**Andrzej Wołosewicz** (Warszawa)

*III nagroda*  
**Karol Graczyk** (Toruń)

### W KATEGORII PROZY:

*I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego*  
**Krzysztof Rejmer** (Warszawa)

*II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego*  
**Monika Słonka** (Kraków)

*III nagroda*  
**Paulina Melcer** (Wejherowo)

### NAGRODY SPECJALNE

*Burmistrza Miasta Lęborka*  
**Paulina Czajkowska** (Gęś)

*Nagroda im. Józefa Majkowskiego*  
*Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku*  
**Grzegorz Baczewski** (Warszawa)

*Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego*  
**Adela Kuik-Kalinowska** (Słupsk)

*Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku*  
**Krystyna Lewna** (Godętowo)





NAGRODA GRAND PRIX  
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

BARBARA ZAKRZEWSKA

I(NK)LUZJE

**Inkluzja**

- Popatrz, jętka w bursztynie. Znalazłem ją dawno temu, kiedy zbierałem kamienie. Umiały zwracać ciepło...

- To bezcenny dar. Zrobię z niego amulet. Niech oddała nienawistne spojrzenia, a wabi twoje agrestowe oczy o tęczówkach jak maleńkie rozety. Oto jętka wtopiła się w wieczność. Omamiła czas, a krople żywicy otoczyły ją palimpsestem. Ale podarowałeś mi także garstkę swojego ciepła.

- Od dzisiaj będziemy wspólnie odczytywać tajemn(icz)e palimpsesty. Każdy z nas kryje w sobie inkluzję, omotaną wieloma warstwami przeżyć. Tych nieujawnialnych, rodem z Cienia. Razem zdołamy nawet w jungowskiej piwnicy zobaczyć miodowe światło i ogrzać w nim dłonie.

**Krople**

Po raz pierwszy zobaczyłam taką kroplę na śliwce. Przypominała koralik z naszyjnika mamy. Chociaż słońce rozdziło tęczowe refleksy, wiedziałam, że to lza. Spróbowałam, czy jest słona. Nie, lzy drzew są gorzkie i nie roztapiają się na języku. Schowałam ją do pudełka po zapalkach.

Z biegiem lat łez przybywało, tych sosnowych. Były lepkie i pachniały lasem. To nic, że brudziły dłonie. Gdy miałam już pełną szkatułkę, poznałam tajemnicę bursztynu. Nie chciałam pozbawiać drzewnych łez wieczności. Włożyłam do pudełka buteleczkę z datą i zakopałam je w ogródku. Kogo zachwycą za tysiąc lat? Może jakiś android zrobi z nich bransoletkę albo wypełni grzechotkę. To też ciekawa perspektywa - stać się pierwszą muzyką dziecka. Byłe nie nicość...

## Oswajanie

Na nic tu elektryczność. W lampie naftowej płomień naprawdę żyje. Porusza się, pełga, wykonuje metafizyczny taniec, odsłaniając tajemnice wnętrza. Światło wyznacza wielką kulę, w której sekretarzyk udaje pianino, witryna staje się szklanym witrażnikiem, ława nabiera pewności siebie i imituje stół.

Blask lampy naftowej pozwala odkryć sekretne życie mebli, wydobyć ich marzenia, ziścić sny. Tak, sprzęty śnią jak ludzie, tylko nie umiemy usłyszeć ich opowieści. Dzieje się to na trzecim piętrze ciszy. Autystykom jest znacznie łatwiej, my musimy ją oswajać jak dziką kotkę, zanim da się pogłaskać. Wtedy biblioteczka opowie nam o kłótniach książek. Niektóre wprost nienawidzą swojego towarzystwa. Ostatnio przestawiłam Głowackiego, bo wyzłośliwiał się na jego temat Miłosz. Kto by pomyślał – żywy może i tak, ale papierowy!?

Nasza lampa zachowała pieśczośliwy dotyk prababci, babci i mojej mamy. To one czyściły szkło, przycinały knot, dolewały nafty, by przepędzić ciemność. Dobrze móc czasem wsłuchać się w świet(l)ne opowieści.

## Pośród morw

Wrosłam w tę ziemię sto lat temu, obok koszteli, głogierówek, repteł, po których już śladu nie ma. Uleciały z dymem kominka, a ja trwam jako *niemy świadek*? A czy ktoś zapytał? Myślą, że mało widziałam. To prawda, mniej niż złotych. Nawet on potrafi oddalać horyzont.

Morwy. Też mi owoce – ani na marmoladę, ani na wino – ot, pokarm dla szpaków czy os. Fe! Nie to, co moje – z pestkami jak kastaniety, dorodne antonówki! I jeszcze odzierano tamte drzewa z liści. Podobno jedzą je jedwabniki. Całe szczęście, że w moich nie gustują. Chociaż – opleść ręcznie malowanym jedwabiem powabną pannę, przyłgnąć do jej posągowych kształtów i poczuć w tańcu ruch każdego mięśnia oraz złaknione dłonie mężczyzny – to byłoby doznanie! I zobaczyć więcej niż zamyka klosz horyzontu... Nie jakieś tam lniane i barchanowe obłapienia w moim cieniu, gdzie nawet księżyc rzadko zagląda.

## Magnolia

Lubię kwitnąć! Czuję się wtedy tak, jakby na moich gałązkach przysiadło stado gołębi. Ich biało-karminowe pióra muska wiatr. Kołyszą się figlarnie, pysznią kolorami. Wystawiają nieco bezwstydnie słupki do pszczoł. Zapyłania już nie lubię. To takie intymne, a owady robią z tej czynności coś pospolitego. Poza tym zapylenie jest końcem kwitnienia, co z tego, że także początkiem nasion. Nie zależy mi na nich. Jeśli uda się im wzrosnąć, nie będę już jedyna

w okolicy. Pełne zachwytu oczy ludzi będą musiały podzielić emocje na kilka drzew. Przeszanę być wyjątkowa.

Już się zaczęło. Pierwszy płatek szybuje w dół. Gołąb zgubił lotkę. Jeszcze przez dzień ozdobi trawę, a potem uschnie, skruszy się w proch i ślad po niej zaginie. Tak jest ze wszystkim, co piękne.

Za rok znowu zakwitnę, przeczekam ten czas smutku owinięta we wspomnienia o moich wypoczywających gołębiach.

### Zamieszkałe drewno

Stary Ignac właśnie zamierzył się na trzeci pieńek, gdy coś zatrzymało jego rękę. Pomyślał o nożu Abrahama, ale co ma do tego siekiera, a tym bardziej kawałek lipowego drewna?

- Mieszkają we mnie skrzypce, dziecięca trumienka albo Frasobliwy... Wybierz.

- Już wybrano. Lutnik ze mnie żaden, wnuków nie mam, a na frasunkach znam się ja, jak nikt inny.

Zabrał Ignac swój pieńek do chałupy, wyszukał kilka dłutek i zaczął obłupywać, co niepotrzebne. Kora na nic, więc poszła do pieca jako pierwsza. Biel także na nic, po chwili podążył za nią dymnym szlakiem. Tak Ignac dotarł do twardzieli, prawie brunatnej. *Jakże mam ciebie przerobić na rzeźbę, gdy ty od lat już nie żyjesz? Czy takie wybrakowane też się na coś przydasz? Mówisz, że to będzie małe Zmartwychwstanie albo drzewna Paruzja?*

Lipowy Chrystus wyszedł, jakby był z modrzewia. Prawdziwy Syn Czarnej Madonny.

### St(r)ach

- Chcesz, ożywię dla ciebie obraz?

- Jasne, tylko który? Niech będzie *Strach na wróble* Ewy Machnik.

- Zanim został strachem, był planetnikiem. Takim o gołęim sercu. Gdy zbliżała się burza, odpędzał chmury. A kiedy zwierzęta i ludzi dręczyła susza, sprowadzał je, by dać ziemi upagniony deszcz. I pewnie długo jeszcze pomagałby wszystkim, gdyby nie miłość. Nasz planetnik, Stach, zakochał się bez pamięci w dziwożonie. Kiedy ją ujrzał, przybrała postać zalotnej dziewczyny. Gdy tylko zbliżył się, by dotknąć jej pszenicznych warkoczy, zamieniła się w synogarlicę. Wtedy zaczęli razem oswajać przestworza, najbardziej lubili przenikać chmury. Czuli się jakby otuleni cukrową watą i próbowali dotykać barw *siedmioskrzydłej tęczy*. Jednak ta sielanka nie trwała długo, bo dziwożona co kilka chwil zmieniała postać. Już planetnik nie posiadał się ze szczęścia, że czuje w dłoni

przyśpieszone cykanie świerszcza w ptasim sercu, a gołębica nagle zaczynała pikować ku ziemi, by stać się tam zwykłą kozą. Stach wyprowadzał ją na najprzedniejszą trawę, której połączone kłacza przypominały mu kradzione pocałunki. Gdy chciał czule pogłaskać ukochaną, kozucha przeistaczała się w kolczasty krzew głogu albo rozsierdzoną osę. Tym figlom nie było końca, a biedny planetnik odchodził od zmysłów, dopóki nie uzaliła się nad nim Dziewanna. Zaproponowała, by wrócił do dawnego zajęcia. Nie mogła to już być jednak praca chmurnika, którą całkiem zaniedbał. Został więc strachem na wróble. Jak widzisz, także nad wyraz łagodnym, bo ptaki siadają mu na kapeluszu i tylko patrzeć, jak uwiją tam gniazdo.

- Chyba przyznasz, że jest w tym wiele uroku, a nawet poezji. Zastanawiam się tylko, dlaczego tak drastycznie ożywiłeś wybrany przeze mnie obraz.

- To pozostawiam tobie. Halina Poświatowska napisała przecież, że *najbardziej patetycznym strachem świata / jest człowiek...*

### ***Z nierukotwornych***

Od co najmniej pięćdziesięciu lat dojrzewała w Izydorze pewna myśl. Wykielkowała w jego głowie, gdy kolega z celi opowiedział mu, jak się pisze ikony. Gabriel, skazany za kradzież drewna z lasu, znał ten skomplikowany proces od swojego dziadka, który na zsyłce stworzył cudotworną ikonę Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

Tylko desek na Syberii nie brakowało. Szymon wybrał więc tę najlepszą, miękką, wyciosaną ze starej lipy, karmiącej skazańców miodem od ponad dwustu lat. Gorzej było z farbami, długo zbierali różne glinki, a sok z jagód musiał udawać ultramarynę, zaś woda z cebulaku – różne ochry i umbry. Zamiast kurzych żółtek używali do ucierania pigmentów jaj synogarlic. Jedynie medium zbliżało się do prawdziwego. Niejeden zajaczek oddał swoje ścięgna na klej ku chwale Bożej Matuchny. O kwas chlebowy zadbały kobiety, jednak wyszedł cieniutki, bo trzeba było ten na Syberii wcale nie powszedni odjąć od ust żyjących dzieciątek, by martwy Syneček na desce ożył... A bywało przecież, że po kilka razy do cerkwi chodziły, żeby prosfory jak najwięcej pojeść i choćby tak głód oszukać. Nawet odrobinę białego wina udało się wyprosić u popa, gdy mu powiedziano, do czego ma służyć. Tylko złota nie można było ani znaleźć, ani z innych ikon uskrobać, boby Szymona posądzono o świętokradztwo. Musiał się zadowolić tym, co zdobył w lesie, nałuskał więc płatków kocanek. Nakładł tych drobinek naturalnego złota jedne na drugich jak płytki na skrzydłach motyla. Świetnie wcieliły się w rolę.

Malowanie, a właściwie pisanie, przyszło mu całkiem łatwo. Wyposzczony był od lat na zsyłce jak żaden z ikonopiszców, umysł miał jasny i czysty, bo je-

dyne dostępne tam grzechy to było złorzeczenie oprawcom. Na głębokie myśli o Absolutie miał czasu aż za wiele. W marzeniach Szymona jednak zawsze stawał obraz żony z nowonarodzonym Mariankiem, więc to ich właśnie postanowił na ikonie w Matkę Boską i Dzieciątko zamienić. Wyszło wspaniale, jakby święci lubili przybierać konkretne, czyli sprawdzone postaci.

Ikona od razu zaczęła czynić cuda. Najpierw tylko dawała zwykłą radość, o co na zsyłce nie było łatwo. Każdy ze skazańców chciał choć przez chwilę na nią popatrzeć, pogrzać się w jej metafizycznym cieple. Gdy strażnicy zorientowali się, co to za pielgrzymki, chcieli ikonę spalić, ale kiedy trafiła do ogniska, natychmiast spadł ulewny deszcz i ją cudownie ocalił. Trzeba było tylko to kankowe złoto uzupełnić, reszta pozostała nienaruszona.

Dziadek Gabriela z Syberii nie wrócił, ale ikonę powierzył najmłodszemu ze skazańców, bo liczył na jego ulaskawienie, i ten przywiózł ją osobom, które były na niej sportretowane. Cała wieś nie mogła się nadziwić podobieństwu. Nadal ikona jest w domu Gabriela, ale go od wyroku ludzkiego sądu nie uchroniła. Cyniczny sędzia nie chciał słyszeć, że drewno było do pieca, żeby dzieciaki nie pomarzęły. Nie pomarzęły, ale ojca widywać przestały, chociaż gdyby nie ta kradzież, Izydor nie wiedziałby nic o ikonach...

Pielegnował tę wiedzę od pięćdziesięciu lat. To i owo doczytał, do Supraśla nawet pojechał, by się napatrzeć, jednak w swoją moc pisania nie wierzył. Gdyby zrobił to za życia żony, może ikona byłaby radosna, ale teraz, gdy zostali sami z Teodorkiem, czuł pod palcami tylko smutek. Jak tu się cieszyć, jeśli na nic nie starcza? A to wózek dla Teosia trzeba nowy, bo rośnie jak na drożdżach. A to co drugi dzień na rehabilitację musi go wozić. Gdyby chociaż zobaczył w oczach Teosia te wesołe iskierki jak u matki, ale nie, chłopak patrzył na niego zawsze z wyrzutem, jakby jego obwiniał o śmierć Doroty.

Prawdę rzekłszy, Izydor już dawno stworzyłby swoją ikonę, gdyby nie pretensje do Najwyższego. Nie mógł Mu wybaczyć, że zabrał Dorotkę, kiedy tu była najpotrzebniejsza syneczkowi i bezradnemu mężowi.

W tamten wieczór Izydor wpatrywał się w syna, jak cały promienieje, oglądając kreskówki. Więc jednak bywa szczęśliwy, choć przykuty do wózka. Nie ważne, że ma już dziewiętnaście lat, a jego dusza trzylatka nigdy nie wydorosłeje. Może to dla niego lepiej. Tej nocy przyszła się Izydorowi Dorotka, taka piękna jak w narzeczeństwie. Wzięła go za rękę i podprowadziła do łóżka Teosia.

– Widzisz, jakiego mamy świętego syneczka? Nigdy nie zauważyłeś, że on przypomina Jezuska? Namaluj nas razem. Nie zdążyliśmy się nabyć rodziną, więc nią dopiero będziemy. – powiedziała to proroczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem i zniknęła.

Nikt nigdy nie pisał ikony z takim pietyzmem. Święta Rodzina była przecież portretem rodziny Izydora. W zapamiętaniu zapomniał nakarmić kur i kaczek,

choć do późnej nocy nie chciały wejść do kurnika i dawały o sobie znać żalonym kokczeniem i kwakaniem.

Izydor od pierwszego spojrzenia wiedział, że ikona jest z nierukotwornych. Kiedy jego oczy spotkały się z tęczówkami Dorotki, poczuł przedziwne ukojenie, spokój tak głęboki, że już na nic nie zamierzał się uskarżać. Gdy nadchodził atak epilepsji, wystarczyło pokazać Teosowi Matkę, by się uspokoił. Po jakimś czasie Izydor nauczył się uprzedzać ataki. Często siadali obydwaj wpatrzeni w jasną twarz Doroty. Wtedy Teos szukał dłoni ojca, by poczuć jego ciepło, obdarowując go obficie własnym.

Czy wiedzieli, że Dorota, Izydor i Teodor to ‘dar Boży’, nosili więc wszyscy troje także to samo imię, a nie tylko nazwisko...

### W-oda

Zawsze był jakiś dziwny. Nie układało mu się z dzieciakami z podwórka. Wolał chodzić na ryby. Nad wodą czuł się u siebie. Mógł siedzieć godzinami, mocząc spławik, i wcale nie cieszyło go branie. Wtedy trzeba było odczepić rybkę z haczyka, a to musiało jej sprawiać ból. Starał się robić to jak najszybciej. Zawsze zastanawiał się, dlaczego ryby nie mają głosu, czyżby tym sposobem Stwórca pomagał takim jak on nadwrażliwcom?

Wyobraźmy sobie, że szczupak byłby wyposażony w ryk lwa albo raczej skowyt psa. Cała operacja zdejmowania z haczyka, a właściwie z kotwiczki, byłaby okupiona rozpaczliwym wyciem! Chyba zmniejszyłaby się liczba wędkarzy. Tobiasz na pewno by tego nie zniósł. Nawet dzwonek w szkole był dla niego katorgą, a co dopiero wywołane jego chęcią złowienia ryby cierpienie...

Jednak rzekę kochał nade wszystko. Gdy matka zmarła, wyobraził sobie, że mówi do niego szumem wody. Nikt o tym nie wiedział, ale gdyby komuś przyszło do głowy poobserwować Tobiasza, miałby nie lada niespodziankę. Chłopak nie tylko słuchał, co mu rzeka opowiada, ale prowadził z nią cichutkie rozmowy. Bardzo cichutkie, by nie płoszyć ryb, ale pewnie także dlatego, że rzeka rozumiałaby go nawet bez słów. Mówił zatem ze zwykłego ludzkiego przyzwyczajenia.

– Zmierzniałeś, syneczku – zaszumiała smutno Narew. – I sińce masz pod oczyma, czyżbyś źle sypiał?

– Odkład cię nie ma, mamuniu, tatko późno do domu wraca, często pijany, to się budzę i potem trudno mi zasnąć, jak się po domu miota.

– Przyprawdź go tu do mnie, może i on coś usłyszysz, spróbuję mu przemówić do rozumu.

– On już całkiem o rybach zapomniał, bo nie ma ich komu smażyć. Ja swoje zanoszę babci Marcysi, to czasami robi w galarecie tak jak ty umiałaś, ale twoje były dużo lepsze.

- To ty jednak pamiętasz, syneczku?

- A pewnie, sam przynosiłem jajka z kurnika, a babcia jajek skąpi, bo sprzedaje na targu. I koperku mi kazałaś narwać, a w babcinej rybie tylko ryba, to jaki może mieć smak?

Takie to bywały Tobiasza rozmówki z Magdaleną. Udało mu się jakimś cudem namówić ojca na wspólne łowienie i zostawił go po godzinie samego.

Tomasz wędrował ze spinningiem wzdłuż rzeki po miejscach, gdzie Tobiasz rozsypywał zanętę, ale nic nie brało, za to Narew zaczęła szumieć, jakby jej nurt przyśpieszył. Zdziwiło to Tomasza, jednak jego zaskoczenie nie miało granic, gdy zaczął w tych szmerach i pluskach rozróżniać słowa, na dodatek tak przyjemne dla uszu, bo niby od jego Magdaleny pochodzące. Przysiadł Tomasz na pniaku, spocony jak mysz z emocji, i dawaj się w szum wody wsłuchiwać.

- Tomaszku mój umiłowany, nie bój się, to ja, Magda. Tylko ty i Tobiaszek mnie możecie usłyszeć. On taki chudziutki, chyba go babcia źle karmi, a i ty bladej jak prześcieradło. Czy ty chociaż nie pijesz?

- A jakże mam nie pić, skoro nie ma po co do chałupy wracać?

- Tomaszku, masz przecież naszego syneczka, dla niego musisz żyć i o niego się zatroszczyć. On przecież inny, jemu trudniej. Zrób to dla mnie i dla niego. - zaszumiała Narew żałością, ale tak przekonująco, że na sprzeciw nie było miejsca.

Powiecie, że to niemożliwe? Nieważne. Ważne, że Tomasz poczuł silną motywację, by przestać pić, i wszystko powróciło do normy.

A potem nadeszła powódź, okrutna Narew wylała tak obficie, że zniszczyła nawet budynki gospodarcze przy domu Tomasza. Tobiasz nie potrafił zrozumieć, jak mogła tak uczynić ich rzeka... Bardzo to nadszarpnęło jego ufność i wiarę. Coraz rzadziej chodził nad Narew. Jednak w Tomasza wstąpiły jak gdyby nowe siły, musiał przecież wszystko odbudować. Pracował od świtu do nocy, aż stodoła i kurnik stały się dużo lepsze i piękniejsze od poprzednich.

Gdy Tobiasz jednak poszedł kolejny raz na ryby, znów usłyszał:

- Syneczku, wiem, że to trudno zrozumieć, ale tak jest lepiej. Sam widzisz, że ojciec poczuł się potrzebny. A jaki teraz dumny, że mu te budowy wyszły. Czasami nie możemy pojąć, że zło na dobre ma się obrócić. Pamiętaj o tym.

### **Ka(r)mie-nie**

Zawsze czuła się inna. Jakaś wyobcowana, myśląca prawie po dorosłemu, jakby nie była dzieckiem. Staruszka w małych ubrankach. Nie, nie miało to nic wspólnego z progerią. Fizycznie rozwijała się doskonale, nawet przewyższała rówieśniczki o kilka centymetrów.

„Dlaczego stoję z boku, gdy inne dzieci grają w gumę albo bawią się w chowanego?” - myślała, szukając przyczyn nie tam, gdzie trzeba. „Tak, to jego



wina, za dużo ode mnie wymaga i rozmawia ze mną, jakbym była o dziesięć lat starsza.”

Zosia miała dwie młodsze siostry, dlatego musiała być dla nich wzorem. Oczywiście starała się nie zawieść taty. Najlepsze stopnie, wyróżnienia w konkursach plastycznych, pierwsze sukcesy poetyckie. Ojciec chwalił się jej dyplomami na każdej uroczystości rodzinnej. Może dlatego nigdy Zosi nie uderzył. Bywało, że narozrabiały wspólnie, na przykład przemaalowały białego kota pastą do butów na czarno, bo chciały sprawdzić, czy przynosi pecha. Wtedy było bicie, dostały Agata i Zuzanna, a Zosia nie, chociaż reprimenda dotyczyła każdej z nich:

– Jak mogłyście pomyśleć, że przemaalowany kot jest naprawdę czarny? I ty, taka mądra dziewczynka, wierzysz w zabobony? Żeby mi to było ostatni raz! Powąchajcie, czym to pachnie – tak zawsze mówił tata, zanim podstawił im pod nosy szeroki pas.

Wszystkie trzy po kolei pochyliły się nad pasem do ostrzenia brzytwy. Pachniał bucikami, też był skórzany. Później następowało wystawianie pupek. Zosia słyszała głuche plaśnięcia, ale gdy przychodziła jej kolej, tatę już zupełnie opuszczał gniew. A ona tak bardzo chciała, żeby było sprawiedliwie, żeby i ją uderzył. Nie doczekała się, zupełnie tego nie rozumiejąc. Oczywiście siostry były na nią zawsze złe, że jej się upiekło, dlatego zazwyczaj przebywała sama.

Od najmłodszych lat lubiła zbierać kamienie. Gdy trzymało się kamyk w dłoni, a później przyłożyło do policzka, czuło się taki przyjemny, prawie ludzki dotyk.

Jeśli w okolicy rozpoczynała się budowa, Zosia chodziła tam myszkować w żwirze. Jakież on krył cudowności! Skamieniałe muszelki, amonity, kawałki bursztynu, czasami nawet udało się znaleźć inkluzję muchówki. Te zasługiwały na traktowanie jak relikwie. Przecież skamieniały teraz owad dostał się do żywicy przed milionami lat! Trzymała swoje skarby w pudełku po butach. Po każdej wyprawie przybywało coś nowego. A to niebieski, szklisty kamyk wytopiony przez piorun, a to otoczek w kształcie serca czy odłamek skały z białym nalotem przypominającym orła. Pudełko pełne cudów. Z wycieczek Zosia także przywoziła kamienie: przecięty agat o tęczowym wnętrzu, ametysty w różnych odcieniach błękitu, przezroczysty kryształ górski. Kiedyś kupiła nawet od jakiegoś Tunezyjczyka różę pustyni.

Od kamieni Zosia przeszła do wielkich brył, postanowiła studiować architekturę. Na każdej wycieczce musiała wejść do kościoła, popodziwiać nawy i transept, sklepienia i freski, ale najbardziej interesowały ją witraże. Gdy widziała światło przenikające przez kolorowe szybki, przypominała sobie plasty miodu sprawdzane pod słońce przez dziadka, zanim trafiły do miodarki. W katedrach dostrzegała barwne hologramy i zapragnęła budować dla nich odpowiednią prze-

strzeń. Zaplanowała, że w jej budynkach muszą być witraże, nawet w prywatnych domach. To tak, jakby się wpuściło zorzę polarną do wnętrza kamienia.

Na studiach dowiedziała się sporo o ohełach i innych obiektach cmentarnych. Zapragnęła je zobaczyć. Na szczęście kirkut był nieźle zachowany. Poczula się tam jakoś dziwnie, ale nie było to nieprzyjemne. Niektóre ohele przypominały prawdziwe dzieła sztuki o ażurowych ścianach, niezwykłych maswerkach i ozdobnych kolumnkach. Tam Zosia pierwszy raz zobaczyła na grobach kamyki. Krewni zmarłych zostawiali je na znak pamięci. Przypomniała sobie swoje pudełko. Przywiozła je ze starego domu i kładła po jednym kamyku obok wybranych macew. Miała trzy ulubione, niedaleko najpiękniejszego oheła. Tam po jakimś czasie trafił nawet amonit, bo Zosia wiedziała, że zabranie czegoś z kirkutu było równe świętokradztwu. Takim sposobem rosły trzy kamienne piramidki.

- Gdzie się podziały twoje kamyki? - zapytała kiedyś mama, widząc prawie puste pudełko. Na dnie leżała jedynie róża pustyni i kilka skamieniałych muszelek.

- Zostawiam je na żydowskim cmentarzu, na grobach, których nikt nie odwiedza. Tylko nie mogę odczytać, co jest napisane na macewach, bo to w jidysz.

- Nie podoba mi się, że chodzisz po starych cmentarzach, jesteś taka młoda, powinnaś spędzać czas z rówieśnikami.

Zosia zauważyła, że mama, mówiąc to, miała dziwy wyraz twarzy. W oczach odmalował się dojmujący smutek pomieszany z lękiem. Taką twarz matki Zosia widziała tylko raz, kiedy po tatę przyszli ubecy. Ale co to mogło mieć wspólnego z jej kamykami?

Nie przestała chodzić na kirkut. Spotkała tam Żyda, który kiedyś mieszkał w Polsce, a teraz przyjechał z Izraela. Poprosiła, żeby jej przetłumaczył, co było napisane na macewach. Pod menorą widniała inskrypcja: Tu pochowana niewiasta szanowana i zacna, była kamieniem węgielnym; piękna jak księżyc, chwałę jej któż zmierzy; pani Jentel córka czcigodnego pana Izraela Hirsza błogosławionej pamięci. Wyszła dusza jej w sobotę, 28 po waszemu stycznia 1932 roku. Niech dusza jej będzie związana w węzełku życia.

Pod dwoma lwami: *Pomnik ten dla znakomitszego od szczerego złota. Maż prawy, jaśniejący został wywyższony, strawa jego była wspaniała dla wędrowców w dzień i w nocy, oto ten pan Chaim, syn pana Izaaka Szterna błogosławionej pamięci. Jego czysta dusza wyszła w sobotę 21 marca 1933 roku. Niech dusza jego będzie w węzełku życia związana.*

A pod zwykłą gwiazdą Dawida: Tu pochowany mężczyzna sędziwy, pan Meir syn Joela, pamięć sprawiedliwego niech będzie błogosławiona. Zmarł 5 kwietnia 1901 roku. Niech dusza jego będzie włączona w wieniec życia wiecznego.

Gdy Zosia to usłyszała, poczuła jakąś dziwną więź z tymi, którzy spoczywali w cieniu macew. Nie ma się co dziwić, od dwóch lat przychodziła w to miejsce,

zostawiając swoje ukochane kamyki. Pan Mordechaj powiedział jej, że krewni tam pochowanych zginęli w getcie. Zosia postanowiła, że będzie tu przychodzić w ich zastępstwie.

Po kilku miesiącach tata zwrócił się do Zosi z niewypowiedzianym smutkiem w głosie:

- Jesteś i zawsze będziesz naszą córką. Bardzo cię kochamy, ale nie chcemy już ukrywać, że nie jesteś naszym biologicznym dzieckiem. Stałaś się na tyle dorosła, że powinnaś to zrozumieć. Twój naturalni rodzice podjęli najtrudniejszą z możliwych decyzję, chcieli uratować ci życie, dlatego zostałaś wyniesiona z getta w futerale na wiolonczelę. A że przed wojną przyjaźniliśmy się, zamieszkałaś z nami jako nasze dziecko. Macewy, które tak polubiłaś i odwiedzasz, stoją na grobach twoich dziadków i pradziadka, jakby te kamienie ciebie wezwały...

Zosia nie mogła tego tak od razu przyjąć. „Jak to – więc jestem Żydówką? Najprawdziwszą?”

- Jak miałam na imię? – spytała łamiącym się głosem.
- Estera.

### **Nasiąknięci**

Okamgnienie. Światło wypływa z wewnątrz, jakby nosili je w sobie.

Łucja nie mogła oderwać oczu od tęczówek Łukasza. Łączyły żywioł wody i powietrza. Lewa napisana najcieńszym pędzelkiem malachitowymi, lazurowymi i szarymi kreskami z mnóstwem opalizujących błyskotek. Prawa zawierała odcienie nieba, przetykane miodowym światłem, jakby gościła świetliki. Łucja знаła te minirozety z lustra, ale nie przypuszczała, że spotka kogoś o identycznych.

I zaczęło się zwitrażowanie. Potrafili godzinami wpatrywać się w cienie wazek, gdzie siateczka użytkowa zachwycała maestrią symetrii. Albo bursztynka. Dla Łucji i Łukasza to była kropla jantaru z łańcuszkiem inkluzji. Przygoda z fotografią i witrażolubne podróże już czekały.

Kraków, Chartres, Paryż, Fryburg – to tylko wybrane przystanki. Nasiąkali miodowym światłem tak bardzo, że zapragnęli je zaprosić do domu. Nie tylko w okna czy drzwi, ale i do witrażników. Wszystko zaczerpnięte z natury – swoje, a wyrafinowane, delikatne, a majestatyczne w swoim pięknie.

Zmieniają witraż – winne grono na dziewannę albo fantazyjny amonit, a po kój zanurza się w inny klimat. Jakby sycili fasetowe dusze.

I NAGRODA  
BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

PAWEŁ PODLIPNIAK

NOPE

nikogo nie obchodzi o czym opowiadasz,  
nikt nawet już nie słucha, chociaż twoje słowa  
rzuciłeś razem z wiatrem, a cała historia  
miała jakieś znaczenie i ładunek uczuć.

czy ta pustka powstała w tym właśnie momencie,  
kiedy ci powiedziała, że żyłeś złudzeniem  
czułości waszych wspólnych poranków i nocy,  
dotyku, który łączył, co niepołączone,  
w łańcuch przyczyn i skutków, gdzie względna kolejność  
miała mniejsze znaczenie od samego trwania  
przy sobie ręka w rękę, dzień w dzień, aż do końca  
– choć koniec się wydawał czymś tak nierealnym,  
tak obcym i odległym niby śmierć we snach.

nikogo nie obejdzie, czy o tym opowiesz,  
nie liczy się historia i od tamtej pory  
o szczęściu decydują starannie dobrane  
leki psychotropowe. reszta jest zmyśleniem.

1983

umrzeć na zapalenie świątła  
– na zgrabną chorobę, która przypomina  
ostatni wolny taniec przy dźwiękach piosenki  
dawno zapomnianego grajka z włoskich list przebojów  
na obozie, gdzieś w lesie, nad chłodnym jeziorem  
niezmiennie charzykowskim, bezwiednie nuciłaś  
*I like Chopin*, więc zawsze mnie kochaj,  
zanim dni pełne deszczu zagłuszą melodię,  
zanim skończy się lato, być może ostatnie.

umrzeć na zapalenie świata  
– tak wtedy myślałem, przytulając cię mocno,  
mocniej niż byś chciała, wciąż jednak zbyt słabo,  
by wszystko przetrwało dłużej niż tamten taniec,  
bo przecież potrzeba dwojga do wypełnienia taktu,  
choć do zanucenia *I like Chopin* wystarczą  
jedne usta, jedno sprawne gardło  
– do pożegnania marzeń na trzydzieści lat.

umrę na zapalenie lata – jeśli tylko będziesz  
moją piękną chorobą pełną świetlnych nut.

## EREBUS I TERROR

osobne, zimne łóżka są jak kontynenty,  
pomiędzy nimi morze milczenia i pustka  
niewypełniona niczym po samiutkie brzegi,  
a tam coś się przemyka i na nas poluje,  
zostawiając pod puchem ostygnięte ciała.

możesz wciąż sobie wmawiać, że *blisko* to tylko  
tyle, co *nic lub zero*, albo jeszcze gorzej,  
choć *gorzej* wciąż kojarzę z zapomnianym ogniem,  
z jasną przestrzenią pełną przeczuc i obietnic,  
dniami, które odchodzą w dal tanecznym krokiem,

zanim je ściśnie, zmrozi nadgościnna pamięć.  
tak właśnie umieramy skuci przez wspomnienia  
rzeczy, których już dawno między nami nie ma,  
więc lepiej obciąć język, wtedy dobre słowa  
na pewno znajdą ujście, gdzieś spod warstwy lodu,

a my ruszymy dalej – bez patrzenia wstecz.

## KRÓLEWICZ ŚNIEGU [KOLAPS]

kolejna rzeź ciężarnych samic wieloryba,  
a w tle jakiś wypadek na autostradzie  
prowadzącej donikąd – jak nasza rozmowa  
o życiu lub nieżyciu, przed telewizorem,  
w porze oglądalności niewygodnych faktów.

strzęp i krew – ciepła hostia wymieszana z winem,  
ładunek, co uderza od razu do głowy,  
zanim podniesiesz gardę, zanim wyprowadzisz  
jakąś sensowną kontrę, w której mnie już nie ma,  
jest tylko szklany okruch z ciemnego zwierciadła

wbity w oczy zamknięte możliwie najszerszej,  
zaciśnięte do bólu, a on nie smakuje  
lepiej od tamtej bezy wprost z kuchni pawłowa,  
od mimowolnej chęci przytulenia głowy  
do twoich ciepłych piersi nieskalanych chłodem.

jeszcze, bo szron narasta, czai się arktyka,  
pusta i niezbadana wymiana poglądów,  
a z niej nic nie wynika oprócz nowych różnic  
– próżni najdoskonalszych, więc zaczynam gasnąć,  
zapadając się cicho pod własnym ciężarem.

II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO  
RADY MIEJSKIEJ W LĘBORKU

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ

WIECZÓR Z SARAH VAUGHAN

na tej płycie Sarah Vaughan śpiewa o miłości

patrzę na kufel zamglonymi oczami i nie wierzę  
w to o czym śpiewa Sarah Vaughan

gdyby miała rację siedziałbym teraz w domu  
i układał z dziećmi z klocków Lego  
serduszka i szczęśliwe zamki

a żona obejmowałaby nas spojrzeniem  
pełnym ciepłego blasku i miłości  
która wtedy jeszcze nie gasła w jej oczach

słucham Sary Vaughan i nie wierzę  
w ani jedno słowo jej piosenki  
którą znam na pamięć jak pacierz

albo jak swoje dni poranione bliznami  
pokryte strupami podłości  
której nie umiem sobie wybaczyć

patrzę w kufel zamglonymi oczami  
na życie chropowate jak głos Sary Vaughan  
i oszukuję się nadzieją na jej radośniejszą płytę

a przecież wiem że Sarah Vaughan  
nie żyje od ponad dwudziestu lat

nie żyje i wciąż śpiewa o miłości



## DLACZEGO POECI NIE SĄ REALISTAMI

Poeci nie mogą być realistami  
gdyby byli nie pisaliby tych swoich wierszy  
których nikt nie czyta chyba że  
kilkoro przyjaciół i ewentualnie  
jakiś złośliwy krytyk dla zaspokojenia  
rządu swojej nienasyconej żółci  
oraz jurorzy konkursów ale oni  
to co innego im za to płacą

Poeci nie mogą być realistami  
bo dziewczyn już nie podrywa się  
na wiersze co najwyżej na smsy do czego  
niepotrzebna jest znajomość gramatyki  
a poza tym one wiedzą że z wierszy nie ma  
chleba a taki poeta to może nawet  
i przewinać dziecka nie potrafi bo jakoś  
nie spotkały wielkiej poezji na ten temat

Poeci więc nie mogą być realistami  
i uchowaj nas Panie Boże aby kiedykolwiek  
nimi się stali

## 49 MASZYN DO PISANIA

*Zbyszkowi Mysłowieckiemu*

ten starzec z Przemysłowej  
(a może ze Stalowej, nie pamiętam)  
któremu zostawiałeś swoje Remingtony  
Continentali i Hermesy

znaliście się od lat  
jeszcze chwila a zostałbyś jego sukcesorem

każda z twoich maszyn miała duszę  
kubek w kubek jak starzec z Przemysłowej  
(a może ze Stalowej, nie pamiętam)

ich czcionki to nie czcionki  
to osobne światy Gutenberga

i nagle –  
tylko pusty śmiech ekipy remontowej:  
Panie, to tylko złom był nic więcej

więc zostanie tylko to  
między opuszkami palców a czcionkami  
których już nie możesz dotknąć?

tylko to?

## NAD MORZEM U SCHYŁKU DNIA

nawet handlarz ryb nie myśli wtedy  
o ławicach śledzi które gdzieś tam  
zmierzają do jego chciwej kabzy  
przeliczone już na złotówki i grosze

nawet on, nawet on dostrzega  
złote i zielone łuski światła  
grające w zielononiebieskim żywiole  
doskonale imitującym nieskończoność

ucisza się dzień zacierając kształty świata  
zachowane już tylko pod powiekami  
bryza od morza słabnie zamiera  
łagodnieje nawet handlarz ryb

### III NAGRODA

## KAROL GRACZYK

### WIECZNE SNY

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,  
choć mój sen nie ma z nim nic wspólnego.  
Może to wina syren wozów strażackich  
tnących miejskie arterie, wołających dym.  
Myślę wtedy o wszystkich, którzy mogli spłonąć.

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,  
więc kiedy śpią inni czuję zapach nocy i wilgoć  
powietrza. W zupełnej ciszy słyszę lekki wiatr,  
deszcz. Kolory nieba zwiastują wschód słońca.

Odkąd spłonął bezdomny sąsiad, nie mogę spać,  
i ciągle słyszę kaszłającego sąsiada zza ściany.  
Może jutro pójde do niego, otworzy mi drzwi  
i znajdziemy brakujące liczby na tarczy zegara.  
Zapalam papierosa od świeczki, gaszę świeczkę.

Palcami.

## RETROSPEKCJA

W zasadzie nie wiem, jaki był początek,  
pewnie Bóg przechodził na czerwonym świetle.  
(Później duży przeskok do moich sennych wspomnień).

To była wycieczka, jeszcze w latach szkolnych.  
Patrzyłem na dziewczynę tak, jak ona na mnie,  
ale – mam to w pamięci – wiedziałem, że nic z tego.

Później było różnie, z kilkoma imionami  
zdążyłem się zżyć, kilka razy zniknąć;  
sen jest zbyt pojemny, żeby iść w szczegóły.

Zainteresowało mnie śledztwo kryminalne  
dotyczące kilku morderstw kobiet.  
W końcu w sporym tłumie na stronę wziął mnie śledczy

i powiedział, że chciałby porozmawiać. Zrozumiałem wtedy,  
że to mnie szukają i że w tej sytuacji robi się gorąco,  
ale pozwolił mi jeszcze wziąć porządny prysznic

i zmyć wszystkie grzechy. Tylko jedna osoba stała wtedy obok,  
a nawet zbliżyła się bardziej, niż kiedykolwiek wcześniej.  
(Całe mnóstwo rzeczy musiałem wziąć w nawias).

Wtedy się obudziłem, z ulgą, jak zawsze po koszmarze  
i po sekundzie, doszło do mnie, że ten sen to prawda.  
Z dziur w ziemi wyrasta woda. Zamyka nas na wyspach.

## PODRÓŻE

Mimo kilku dowodów ciągle wierzę,  
że śmierć zdarza się w odległym *gdzie indziej*.  
To miejsce położone gdzieś na krańcach mapy,  
gdzie panuje głód, terror i tyrania, a w morzach  
żyją wielkie potwory wodne udające wyspy.

Czasem nurkuję w tę ciemność, ale tylko do czasu,  
aż wszystko stanie się jasne i umyvam ręce.  
Wtedy wychodzę na brzeg i trafiam na słoneczną plażę.  
Biorę głęboki oddech i czuję się dużo lepiej.

Najchętniej podróżuję nie wychodząc z domu.  
Znam dźwięk wiertarki każdego z sąsiadów,  
rozpoznaję ich kaszel i kroki na schodach,  
repetycje Beethovena grane przez sąsiadkę.  
Zamykam drzwi, otwieram okno, wietrzeję.

## ODBICIA

Stojąc przed lustrem oglądam swoje linie papilarne  
i zastanawiam się, co muszę zrobić, by miały znaczenie.  
Nie lubię, kiedy coś się marnuje. Za lustrem, za ścianą

wije się rzeka dzieląc kraj na dwie zazębiające się połowy.  
Podobno płynie w nas ta sama rzeka – czysta z naszej strony,  
zakażona z drugiej. Może przez ten dysonans wokół niej

kwitną cmentarze i asfalt; obwieszczają drogę  
i jej zakończenie. Odbijam się od tafli w miejscu,  
w którym słowa są krótsze, niż echo. Milkną.

I NAGRODA  
STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

KRZYSZTOF REJMER

PAMIĘĆ JAK PIASEK

W Łomży, na Czerwoniaku, też bili. Rosjanie i Polacy. Mocno. To w mamrze zupełnie zwyczajna rzecz. Zabić też mogli. A jakże. Ale wtedy był młodszy. Dużo młodszy. Lepiej to ich bicie znosił. Poza tym miał mniej wyobraźni. I mógł uciekać albo przynajmniej próbować. Tak mu się wtedy wydało. Uciekać... Nie, teraz to nie ma sensu. Bo też i nie ma dokąd. Nikt nie pomoże. Znajdą i będą bić dalej. Jeszcze mocniej. Tamci bili, żeby nauczyć posłuszeństwa. Ci biją, żeby zabić. Ale nie tak od razu. Nie ma aż tak dobrze. Będą bić, żeby dusił się ze strachu. Tak bić, żeby zwieracze puszczały na sam dźwięk kroków na korytarzu powoli zbliżających się do drzwi celi. Żeby leżał we własnym gównie, cuchnącym i rzadkim, żeby liczył te kroki i roztrzęsiony dusił się smrodem własnego strachu. Ten smród daje im poczucie władzy. Nie pieniądze. Nie broń. Nie widok krwi. Nie trzask pękających kości. Przede wszystkim smród strachu... To ich upaja... Mocniej niż alkohol albo narkotyki, ekstatyczniej niż wielokrotny orgazm. Najgorsza jest chwila, kiedy zakładają rękawiczki. Ten moment, kiedy wąskie aryjskie nozdrza rozchylają się i węższą.

W Moabie też wesoło nie było, ale tam go pobili dopiero za klej. I wrzucili do karceru. Wojna była, więc co tydzień więźniom obcinano racje żywnościowe, na które trzeba było zapracować klejeniem opakowań. Zasada była prosta. Kto nie pracował ten nie jadł. Roboty było coraz więcej, a żarcia coraz mniej i było coraz nędzniejsze. W końcu nie wytrzymał i zaczął łapczywie wyjadać kłajster robiony z kości. Smakował wstrętnie, ale jego ostry zapach drażnił nozdrza, a kiszkę grały marsza głośniejsze niż cesarska orkiestra wojskowa. W karcerze zaraz go wzdęło, a potem zaczął rzygać, bo Niemcy coś dodawali do tego kleju. Żeby osadzeni go nie wyżerali. Wszystko u nich było dobrze przemyślane. Żadnego miejsca dla przypadku. Po tygodniu wyszedł z ciemnicy ślaniając się na nogach. A po dwóch uciekł, ale wtedy miał ponad dwadzieścia lat mniej i po tamtej stronie kumpli, którzy wszystko zorganizowali, bo w śledztwie niko go nie spytał.



Kroki minęły drzwi i powoli zaczęły się oddalać. Lepiej spróbować zasnąć. Zanim powrócą. Zanim smród osiągnie takie natężenie, że ten, który jest po drugiej stronie poczuje, że warto już założyć rękawiczki, wejść i zacząć bić. Tak, zasnąć. Jeśli tylko ból pozwoli. Jeśli uda się go jakoś oszukać... Jeśli się uspokoi... Jeśli nie, można wspominać. Pozbierać wspomnienia, bo są jak ziarna piasku przeciskające się przez palce zaciśniętej pięści, jeśli nabrać ich w garść zbyt wiele. A pamięć jest jak studnia bez dna. Cokolwiek się wydarzyło, zostało w niej zapisane, gdzieś tam w niej jest, pod ciemną powierzchnią wody. Gdy ludzie zasypią, będą tam nadal, ale nikt ich już nie odczyta. Jedyne co jeszcze ma na własność to wspomnienia. Jeszcze może do tej studni zajrzeć i zobaczyć blade odbicie własnej twarzy, która, choć należy do niego, wydaje mu się obca. Musi wczepić we wspomnienia jak kleszcz, póki jeszcze pamięta coś więcej niż wczorajsze bicie. Przywołać ludzi, których już nie ma albo nie było nigdy. Tych, których kiedyś spotkał i tych, których wymyślił, kiedy zaczął pisać swoje opowieści. Wrócić do tamtych miejsc i zdarzeń. Do Odessy na Mołdawiankę i na warszawskie Nalewki. Wybrać sobie coś z tego, co mu się jeszcze płącze po głowie. To może być cokolwiek, jakiś moment, jakaś twarz, jakies zapamiętane słowa, to nie musi być nic ważnego. Choćby i ta piosenka: *Жулик будет воровать, а я буду продавать. Мама, я жулика люблю!*<sup>1</sup> Oj, ileż to się w młodości naworował, a ileż to miał kobiet. Pierwsza była ta pulchna Yiddische Mame z Łomży, u której zamieszkał na stacji. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, ale za to miała bogatego męża, który mógłby być jej dziadkiem. I pierwsze siwe pasenka. I na dodatek zaczęła tyć w biodrach od tych ciastek, które wciąż pożerała. Z rozpacz i z nudów. W Warszawie mogłaby mieć kochanka, ale w Łomży taka rzecz to ryzyko, tam nic się przed ludźmi nie ukryje. Przyjęty na stację uczeń jesziwy spadł jej jak z nieba. On był wtedy dwunastolatkiem i śmiertelnie przeraził się na widok gołej cipy. Cycki niejedną raz widywał u dziewczuch w Wiznie, ale to? Zupełnie nie tak to sobie wyobrażał. Głupi był i gówniarz, więc tak go to zaskoczyło, że zaraz pomyślał o wrotach do piekła...

Wiele ich potem widział i wszystkie zapamiętał. Twarzy nie, bo go na ogół nie interesowały. Jeszcze i dziś... Tylko z Sarą było na odwrót. Pisać zaczął przez przypadek. Właściwie z nudów. Najpierw zaczął czytać. Sienkiewicza, Londona... Ferajna ułożyła o nim nawet piosenkę. Szło to jakoś tak: „W samotnej celi, na Czerwoniaku, młody doliniarz, czyta Krzyżaków...” A potem przeczytał Dostojewskiego i wtedy wzięło go na dobre. Ten to dopiero poznał zakamarki ludzkiej duszy! Poczł zazdrość. Najpierw, koślawymi literami, zaczął wydrapywać wiersze na ścianach celi. A potem... Znaleźli się tacy, których zaciekała

---

1 Żydowska piosenka z Odessy.

jego biografia. Pomogli napisać. Wydali. Pomału zaczął wymyślać opowiadania i powieści o świecie, który znał. Jak zaczęli je drukować w Ameryce, polubiły go pieniądze, już nie musiał kraść. Ożenił się z Sarą.

Miał zostać rabinem. Ale nie wyszło. Został urką. Ojciec był młynarzem, a młynarz to przecież nie byle kto. Wspomnienia wysypują się jak strumień ziaren piasku z dziecięcej dłoni na łasze nad Narwią. Każde ziarenko, to czyjaś twarz. Albo zdarzenie. Porywa je wiatr i dmucha nimi w oczy. Może gdyby ojciec był mniej surowy. Gdyby nie umarła mu matka. Gdyby nie był taki samotny. Zawsze jako usprawiedliwienie jest jakieś gdyby... Życie, które poznał to pułapka, trudno się z niej wydostać. Może i gównno warte, ale barwne. Przy najmniej w opowieściach. Prostytutki, hołociarze, włamania, ucieczki, bandycki honor, porachunki i samosądy. Codzienne igranie z losem. Długa droga z jeszwy pod szubienicę. Nie można z niej zawrócić. Jemu udało się niemal w ostatniej chwili skrócić w bok. Przypadek? Przeznaczenie? A może pech? Gdyby go powiesili za ten napad na kupca w Białymstoku, odszedłby, wciąż młody, w pełni złodziejskiej sławy i nie leżałby tu teraz plując krwią. Napad z bronią w rękę to nie przelewki, ale papuga był chytry. Po podwórkach i melinach śpiewano by o nim ballady. Ale nic z tego. Meliny i ich mroczna poezja! Ach, w jakich to nie bywał! Pamięta takie, do których wchodziło się przez szafę w izbie ubożego szewca. A tam, po drugiej stronie, w zadymionej izbie harmonia na trzy czwarte, na stołach tańczą gołe dziwki, po kątach leżą skrojone, najczęściej tanie fanty i szumi pomiędzy skrońmi falujące morze cuchnącego bimbru, od którego pęka czaszka i z obrzydzenia wykrzywają się usta, ale który w zamian daje chwilę euforii i zapomnienia.

Zamieszkał w Otwocku. Nie był już dłużej wyrzutkiem społecznym, został literatem. Pisał dużo za dużo. Zupełnie nie pomału nad formą. Doskonale wiedział o tym. Postacie wychodziły mu płaskie. Te piękne kochanki włamywaczy, które jak wampirzyce prowadzą ich do zguby, stare, żydowskie hrabiny i skorumpowani policjanci. Cnotliwe dziewice poświęcające się, by wyrwać ze szponów zbrodni i spod władzy demonicznego szefa gangu przystojnych bandytów, którzy po śmierci okazują się nieślubnymi synami gruzińskich księżniczek, albo duńskich baronów. *Где блатные, там и я, все блатные – боль моя...* W świecie, w którym żył, dziewictwo traciło się w dwunastym roku życia. Ale literatura ma swoje prawa. Bez wzruszającej blond dziewczicy, którą wszyscy, nie wyłączając komisarza policji, pragną znieprawić, w powieści ani rusz. Poza tym strumienie krwi, stosy trupów i ciężące nad ludźmi mroczne fatum. „Czy jak pan widzi na nadgarstku zegarek, to nie ma pan ochoty go ściągnąć?” prowokował go dziennikarz z ABC, który poprosił o wywiad. „Nie. A pan?”

Niedobre było to co tworzył, sztuczne i nieprawdziwe, a przecież miałby o czym pisać. To, co działo się w praskich rzeźniach, było dużo lepsze niż gangsterskie porachunki w Chicago i Nowym Jorku. Chciałby pisać o tym, jak się ostrzeliwali z browningów z za stert wieprzowych tusz. Dawni bojownicy PPS i endecy. Ale nie umiał. W koszernej też było nie inaczej. Gangi do których należeli kupcy i robotnicy. I o tym, jak dmuchnęli tę świnię Gettera. Mógłby zostać pierwszym piszącym w jidysz nagrodzonym Noblem. Gdyby tylko umiał, ale nie umiał, a może nie odważył się popробować inaczej, więc tylko chałturzył dla groszowych wydawnictw. Albo te warszawskie knajpy, w których można było spotkać doktora Łokietka o zimnych oczach szulera. Mówił powoli i mało. Cedził słowa przez zaciśnięte zęby. Właściwie nie tyle mówił, ile rozkazywał. Co prawda lepiej go było nie spotykać, a zwłaszcza pijanego. Nie dlatego, że po wódce był nieobliczalny, wrzeszczał i strzelał do wszystkiego, takich było w końcu więcej. Ale to dlatego, że doktor Łokietek był bardzo blisko władzy i mógł bić kogo zechciał. Sam premier Składkowski go chronił. Albo Walery Sławek. Różnie ludzie o tym gadali. Nieważne. Ważne, że ten, kto by zadarł z Łokietkiem, nie miałby w Warszawie życia. Żadna melina by go już nie przyjęła. Za duże ryzyko. Raz, jak go jakiś stójkowy zatrzymał, to sam poszedł za to na tydzień do aresztu. Przyjechał po niego rządową limuzyną jakiś pułkownik i razem pojechali do burdelu Ryfki de Kij. Ta Ryfka to była fest kobita! Jak ją postawili przed sądem, to od razu rozpuściła gębę. „Jaki tu może być nierząd, kiedy do mnie przychodzą pan naczelnik Urzędu Śledczego i dużo innych inspektorów policji, a też ministrowie i pułkownicy. To ja się idę pytać pana sędziego, czy to jest rząd, czy to jest nierząd? I co ma znaczyć te całe hece, jaką się w ten sąd odbywa?” Ciekawe, co teraz robi doktor Łokietek? Może zwiął do Szwajcarii... Zdaje się, że tam ma swoją byłą. A może nie zwiął. Dla takich jak on Szwajcaria jest zbyt nudnym miejscem. Może zdjął mundur Strzelca i teraz w cywilnych łachach, razem z tatą Tasiemką, organizuje oddział bojowy, a może fart go opuścił i leży z połamanymi żebrami na Pawiaku? Najpewniej jednak siedzi w jakiejś piwnicy getta i wysyła stamtąd swoje bojówki żydowskich tragarzy do akcji. Dawniej rozprawiał się z komunistami, endekami, oenerowcami i żydowskimi kupcami, którzy nie chcieli płacić rekietu, to czemu by nie miał teraz strzelać do hitlerowców?

Być blisko władzy to dla gangstera cholernie pociągające i zarazem niebezpieczne. Bo im wyżej jesteś, tym niżej spadniesz. Poza tym, wtedy wszyscy, nie tylko menty, znają twój twarz. I wiedzieć za dużo też nie warto, bo potem możesz zniknąć na zawsze jak generał Zagórski, który zbyt dużo wiedział o Komendancie. Wiedzieć trzeba tyle, ile należy, plus jeszcze trochę. W tym „trochę” tkwi cała mądrość. Ale i on raz w życiu był blisko władzy. W Moabicie. Trzy-

mali go tam w piwnicy, a dwa piętra wyżej wzięli Pana Marszałka. Trzy razy widzieli się na spacerniaku. Marszałek uważnie mu się przyglądał, aż w końcu go rozpoznał. Za trzecim razem Piłsudski zawołał do niego: „trzymaj się bracie, bo to już niedługo...” Oczywiście to wszystko nieprawda, Komendanta przecież internowano w Magdeburgu, ale wystarczyło, żeby pewna naiwna sklepikarka z Grodna otworzyła przed nim drzwi swojego domu i swoje piekielne wrota też... Stęsknił się za tymi babskimi smakołykami. Przez trzy dni niemal nie wychodzili spod pierzyny. *Менты ходят, жулик спит, а мое сердце так болит...* Zabolą ją, ale nie serce. Czwartego dnia, gdy siedział w wychodku, zaczęła mu szperać po kieszeniach marynarki, którą zostawił w sypialni, a gdy zobaczyła papiery z Łukiszek, to zaraz zorientowała się kim on jest naprawdę. Nie zdawała sobie sprawy, że wiedzieć trzeba tyle, ile należy plus jeszcze trochę. A czasem jednak mniej. *Жулик ходит в кандалах* – a niedoczekanie twoje, *ты сука-блядь!* W dodatku idiotka. Bo przecież nie szukają go, skoro dopiero co wypuścili go z mamra. Kiedy myślała, że już zasnęła, szybko pobiegła na policję, żeby go sypnąć, więc zaraz się ulotnił, a przy okazji skroił jej biżuterię i całodzienny utarg ze sklepowej kasy. Garbaty Herszele, dawniej kasiarz, który miał melinę na Gęsiej, po tym jak go raz postrzelili przy robocie, nawrócił się i nawracał innych. To właśnie ten nawiedzony Herszele ciągle powtarzał, że całe zło tego świata bierze się od kobiet. Jak melamed z Wizny powoli pożerany przez suchoty.

Zmiana warty. Teraz, aż do samego rana, będzie go pilnował ten młody, chudy Austriak o wystraszonych oczach dziecka. Wczoraj ukradkiem wsunął mu do kieszeni kromkę chleba. Może jest to jeden z tych trzydziestu sześciu sprawiedliwych? Ta myśl go rozśmieszyła. Takie rabinackie gadanie. Sprawiedliwości w świecie jest akurat tyle, ile jej dla siebie wymusisz. Siłą, pieniędzmi albo sprytem. Prędzej doktor Łokietek... Ale to dobrze, że teraz na warcie stoi akurat ten chłopak, bo to oznacza kilka godzin spokoju. Od razu się wydaje, że mniej boli. Może uda się zasnąć. A może nie warto? Bo jeśli to ostatnia noc w jego życiu... Tylko wódki by się jeszcze przed śmiercią chętnie napił. Przecież nie jest głupi. Rozwałą go, to oczywiste. Jak im się znudzi bicie. Mówi się także, tylko kto by w to wierzył, że jednym z tych trzydziestu sześciu sprawiedliwych jest Mesjasz, ale sam nie wie, że nim jest. Jeśli nie zostanie przez ludzi rozpoznany – umiera, a potem rodzi się na jego miejsce nowy Mesjasz. Nerki bolą... Szczą ciemną krwią. Jest głodny, ale to przecież nic nowego. Przez pół życia głodował. Teraz już wie: głód nie jest jeszcze najgorszy. Wódki, napiłby się wódki... Jutro, może pojutrze, zabiorą go stąd. I poprowadzą niedaleko, w niebyt. Ma tylko nadzieję, że to nie będzie ten Austriak. Że to nie on zostanie wyznaczony, żeby go zastrzelić. Bo ten chłopak na pewno odmówi, on już to dobrze

wie, przecież zna się na ludziach. A wtedy obaj pójdą do piachu. Nie chciałby, żeby za jego czarną jak dybuk, złodziejską duszę umarł Mesjasz. Bo śmierć tego Mesjasza nikogo nie zbawi.

## II NAGRODA PRZEWODNICZĄCEGO RADY POWIATU LĘBORSKIEGO

# MONIKA SŁONKA

### MATRIOSZKA

#### Kapelusz

Nazwali mnie osobowością dyssocjalną. Deszczowego, listopadowego popołudnia wszedłem do gabinetu profesor Albertyny jako zdrowy, niespełna trzydziestoletni facet. Godzinę później wyszedłem jako podstarzały mentalnie wariat, rokujący jedynie na samotny wieczór ze swoją przemoczoną głową. Boję się, że od tego deszczu myśli mi zamokną i nie będę mógł już ich posklejać. Nie wiem zupełnie, co mną powoduje. Tyle deszczu płynie z nieba, a ja zostawiłem mój kapelusz na stole w kuchni, jak dekorację. Kiepska to raczej dekoracja, co czarna jest i nie dodaje uroku babcinemu obrusowi. Na stole leżą kwiaty, które sam już nie wiem dlaczego, chciałem dać Amelii. Powoli zaczynają więdnąć, widzę jak żałośnie spoglądają na mnie, kiedy wychodzę rano do pracy. Proszą o odrobinę napoju, żeby się schłodzić, ale ja nie chcę ich karmić wodą z chlorem, żeby im nie zaszkodziła. Kto to wie, co może płynąć w zardzewiałych przez lata rurach. Żałośnie patrzy też na mnie kapelusz, o którym zapominam, a w którym leżą jeszcze cytaty z dnia poprzedniego. Kiedyś nie byłem pewien, co człowiek powinienem robić ze swoim czasem i jakie zajęcia powinny wypełnić dzień podobny do pustego stołu. Wymyśliłem więc mój osobisty sposób na życie. Codziennie rano losuję cytat z wcześniej przygotowanej puli cytatów i żyję tak, jak każe dany fragment. Niesamowicie wygodne rozwiązanie! Nie muszę zaprzętać już myśli planowaniem własnej osoby. Stałem się opanowany i pewny tego, kim jestem. Jednego dnia na przykład żyłem jak ptak, tydzień później zajadałem się magdalenkami i przenosiłem myślami w świat dzieciństwa. Teraz już wiem, że prawdziwym budulcem tożsamości jest słowo. A co do słów: profesor Albertyna wypuściła ich dziś z siebie chyba miliony. Były pytania o lęki i chowane urazy, były też te o napady gniewu i niekontrolowane akty przemocy fizycznej. Nie odpowiadałem na nie, nie uważam, że słowa tej prostytutki kierowane były do mnie. Rzuciła nimi obok, jakby celowała do mojego kapelusza, którego przecież ze sobą nie wziąłem. Więc nic nie słyszałem. Stwierdziła, że je-

stem, „stabilnie niestabilny” i skierowała mnie na terapię. W ośrodku mam się zjawić już za dwa tygodnie, w dzienniku zapisuję datę: 11.12.2000. Cóż za nagromadzenie jedynek i dwójek! Trochę mi to przeszkadza, choć jak bliżej się zastanawiam i dokonuję rachunku, szybko orientuję się, że po dodaniu cyfr wychodzi 7. A więc jakieś szczęście może się do mnie uśmiechnie. Albo i nie. Pod datą w dzienniku zapisuję „Dom dla psycholi. Podejście pierwsze”. I uroczyście zatrząskuję kartki.

Nadszedł dzień wyjazdu. Budzę się jeszcze przed świtem, niespokojne myśli każą wstawać wcześniej niż pierwsze promienie słońca. Nie ma koguta, który by zapiał, nie ma śnieżki rzuconej w okno, nie ma też telefonu od kobiety, zaspianym głosem życzącej miłego dnia i zapewniającej, że kocha i będzie czekać. Wyrzucam więc z głowy najpierw koguta, później śnieżkę, a na końcu kobietę życia, której nigdy nie poznałem. Przypominam sobie jednak, że kobiety winny mieć pierwszeństwo, wkładam więc do głowy na powrót koguta, śnieżkę i kobietę. I kobietę puszczam przodem, niech idzie i zawraca czyjąś inną głowę. Jedząc śniadanie, jajo od kury z wolnego wybiegu, zastanawiam się przez krótką chwilę, czy gdyby wybieg był szybki, jajo smakowałoby inaczej. Płaszcz przygotowany na drogę wisi już na drewnianym krześle, przypominając człowieka, który, nie wiedząc czemu, postanowił się na na nie nadziać. Na stole leży czarny kapelusz o równie czarnym dnie. Cytaty wyjąłem z niego wczoraj. Nie chciałem, żeby ludzie, obserwując mnie idącego, widzieli słowa wypadające mi z głowy. Po jajku i świeżej, czarnej kawie, nadchodzi czas na pierwszą przyjemność niedzielnego poranka – tytoń w bibułce leży już na parapecie, godząc się ze swoim jedynym przeznaczeniem – moimi okalanymi wąsem ustami i nieświeżym, porannym oddechem, który wkrótce go pochłonie. Tę bierność kocham w przedmiotach, są skrajnie odmienne od ludzi. Nie zadają pytań, nie awanturują się i nie ma w nich za grosz duszy prawdziwego rebelianta. Lubię być panem sytuacji. Chwytam papierosa i już w ustach czuję pierwszy kłębek dymu, gdy słyszę pukanie do drzwi.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś? – pyta Amelia, gdy otwieram drzwi.

Nagle zdaje mi się piękniejsza od papierosa.

– A dlaczego miałbym dzwonić? Kupiłem ci kwiaty. To chyba jest jakiś gest?

Nie rozumiem kobiet, które ciągle potrzebują rozmów i zapewnień, zamiast zadowolić się męskim czynem. Wpuszczam ją do środka, od dżentelmena wymaga się jednak względnej kultury. Amelia siada na krześle i przygniata nabitego nań człowieka, który zdaje się wydawać z siebie niemy krzyk. Pytam, czy nie przeszkadza jej papieros, tej przyjemności nawet jako dżentelmen wolałbym sobie jednak nie odmawiać. Wydawałoby się, że kobieta tak drobna i krucha jak ona będzie przytłoczona dymem papierosa, ta jednak sięga po moją

srebrną papierośnicę i ani się obejrzę, a już z jej ust wydobywają się pierwsze kłęby dymu. Na moje nieszczęście wygląda niezwykle ponętnie, gdy tak siedzi na parapecie w mojej kuchni i pali.

– Nigdy nie dostałam od ciebie tych kwiatów. Przecież widzę, że leżą na stole i więdną. Cóż mi z gestu, którego nie jestem w stanie nawet ujrzyć?

– Chciałem przyjść do ciebie wczoraj i wręczyć ci je przed podróżą. Wybacz mi, to już drugi bukiet, który kupiłem. Zauważyłem, że więdną i nie chciałem obrazić cię zdechłą rośliną. Mogłabyś się źle poczuć.

Pełna zawodu i urazy, może nawet odrazy do mnie, przeczesała ręką włosy, zaciągając się po raz kolejny, a z jej oczu popłynęły łzy.

– Amelio nie płacz, bo zachłapiesz podłogę. – Powiedziałem, a jej usta zadrzały, jakby chciała się uśmiechnąć.

– Nie jesteś psycholem. Cóż oni takiego o tobie nagadali, że musisz tam jechać? Może nie wiesz, że kwiaty usychają, a cytaty tak po prostu nie wypadają z głowy. Ale nie jesteś świrem. Wiem to. Będę czekać aż wrócisz i pisać ci listy. Do zobaczenia, Lambercie. Słyszac swoje imię, czuję jak wwierca mi się ono w mózg. Cóż za absurd! Już wołałbym być kapeluszem!

Po wyjściu Amelii czułem dziwne przygnębienie, wyrzuciłem uwiędłe bukiety, których, jak sprytnie zauważyła, nigdy jej nie wręczyłem i pobiegłem na stację. Miałem mało czasu. Pociąg miał odjechać o dziesiątej, była dziewiąta trzydzieści, a moje krótkie nogi potrzebowały około dwudziestu minut, by dostać się na dworzec. Na szczęście zdążyłem. Podróż minęła szybko i bezboleśnie. O ile bezbolesnymi można nazwać 6 godzin spędzonych w towarzystwie człowieka, który całą drogę zajada się jajkiem i kiełbasą. Do miejscowości Toszek dotarłem po godzinie szesnastej, na dworcu czekała już na mnie siostra Aniela, która powitała mnie miło, acz z dozą chłodnego dystansu, który powinien istnieć pomiędzy pacjentem a personelem. Podróż samochodem do szpitala trwała około godziny. W ciągu tej godziny siostra Aniela przedstawiła mi krótko plan na resztę dzisiejszego dnia. Rejestracja, poznanie (jak ich później nazwałem) przyjaciół w niedoli, kolacja i wreszcie pierwsza rozmowa z lekarzem prowadzącym. Spytałem siostry czy mam być sobą, czy mogę ukryć się za moim kapeluszem. Odpowiedziała, że najlepiej będzie zachowywać się stabilnie.

Szpital wywarł na mnie ogromne wrażenie. Położone w lesie zamczysko z widokiem na góry, zdawało się chować w sobie wszystkie demony tego świata. Nie byłem pewien, czy w takim miejscu człowiek może zaznać odprężenia i spokoju ducha, który szpital reklamuje na swoich ulotkach. Przedzierając się przez zasypy śniegu, które sięgały mojej jedynej, skórzanej walizki, mogłem poczuć się jak Wiking, zmierzający ku kolejnym podbojom. I wtedy postanowiłem: Podbiję



ten zamek i zrobię sobie z niego użytek. Jak się później miało okazać, podboje są trudniejsze, niż mogłem to sobie wyobrazić.

### **Oddział dla psychicznie i nerwowo chorych**

Wczoraj poznałem innych nieszczęśników. Na moim oddziale jest, włączając w to mnie, pięciu pacjentów. Jest Aurelia, o której wiem, że jest poetką, jest też Oliwier, Histrion i Berta, o których zbyt wiele jeszcze nie wiem. Wszyscy wydają się nieco wycofani, jedynie Histrion, ze swoją ekspresywnością, zdaje się tu nie pasować. Wczorajsza rozmowa z lekarzem prowadzącym przebiegła chyba pomyślnie, niczym więzienny strażnik poinformował mnie o moich prawach i obowiązkach, a następnie powiedział o konieczności wdrożenia farmakoterapii. Dzięki temu mam wyzbyć się lęków, a jak już się to stanie, rozpocznę psychoterapię. Psychoterapia to taka terapia dla duszy, tak mi powiedział. Ja jednak myślę, że to nie moja dusza potrzebuje terapii, tylko świat. Ale terapii dla świata nikt chyba jeszcze nie wymyślił. Taniej leczy się jednostkę.

Po śniadaniu i solidnej dawce kolorowych pigułek mamy czas dla siebie, postanawiam więc poznać moich współpsycholi. Skoro mam się tu męczyć, to wolę robić to w doborowym towarzystwie.

„Sala spokoju”, w której możemy rozmawiać, czytać i grać w gry planszowe jest duża i biała. Biel ścian potęguje jeszcze uczucie grudniowego mrozu i myślę, że nie ma mowy o zaznaniu tu chociażby namiastki spokoju. W kącie siedzi Aurelia, buja się na krześle i czyta książkę. W rękę trzyma papierosa.

– Dzień dobry, Aurelio. Jak się masz w ten piękny, grudniowy poranek?

Chciałem jakoś zagaik, nawiązać jakiś kontakt. Tak się chyba robi w towarzystwie, żeby nie wyjść na świra.

– „Oto jest biała ściana, ponad nią niebo samo się tworzy. Nieskończone, zielone i nieosiągalne”\*. – Przeczytała, spoglądając na mnie znad żółtego tomiku poezji. Zapaliła kolejnego papierosa. – To Sylvia Plath. Zawsze lubiłam jej wiersze, są zimne jak te ściany, a czasami zielone jak łąka. Jak chcesz, mogę kiedyś pokazać ci moją biblioteczkę. Wożę ją zawsze przy sobie w walizce. Nazwałam ją walizoteką. Jak sprzedasz mi papierosa, mogę oddać ci wybraną książkę.

– Dziękuję ale trochę tu dla mnie za zimno, żeby czytać Plath. Trzymaj papierosa, płacić nie musisz.

Podałem jej papierosa, a ona wyciągnęła swoją wychudzoną, żylastą rękę i zauważyłem jak bardzo się trzęsie. Spytałem, jak długo tu jest.

– Będzie już drugi rok. Ale czas szybko mija. Kiedy czytasz, czas przemyka jakby obok. Więc się nie martw. I tobie szybko minie.

Nie wiedziałem, czy spytać ją, dlaczego się tu znalazła. Pytanie wydawało mi się zbyt odważne, a ta młoda jeszcze kobieta o oczach staruszki, wydawała

mi się nie mieć już siły, żeby odpowiadać. Ale kto nie pyta, nie znajduje odpowiedzi, a więc spytać musiałem.

- Moją winą jest chyba to, że jestem poetką. Podobno kobiety poetki są podatne na zaburzenia osobowości. Ja tego nie wiem. Ja tu tylko czytam

- Nie czujesz się samotna? Jesteś młodą kobietą, przed tobą całe życie. Nie cierpisz w zamknięciu? - Spytałem i nie wiem, czy spodziewałem się innej odpowiedzi.

- „Wkrótce uświadomisz sobie czyjąś nieobecność, rozrastającą się obok ciebie jak drzewo...A niebo jak świński zad, całkowicie obojętne”\*. A co do zadów! Chodź, poznam cię z Bertą, to jest dopiero ubaw!

Chwyliła mnie za rękę i już biegliśmy do Berty, która w drugim kącie sali przykucnęła, opierając się na rękach, nogi pokracznie wyciągając do tyłu.

- Cześć Berto, to ja, Aurelia. Chciałam przedstawić ci Lamberta.

- Zdjąłem kapelusz, który zawsze noszę na głowie i nisko się ukloniłem.

- Miło mi cię poznać, Berto. Jestem tu nowy. Dopiero wczoraj przyjechałem i nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać.

- Muuu. - Odpowiedziała Berta, jakby kwitując moja niezręczna próbę zapoznania się z nią.

- Może przyłączysz się do nas? - Powiedziałem.- Aurelia właśnie czytała mi wiersze. Moglibyśmy usiąść razem i poczytać.

Och, jak żałośnie wybrzmiewają moje słowa! Proponuję jej, żeby przysiadła się do nas i poczytała z nami. Mówię jak do dziecka! A co, jeśli Berta wcale nie lubi czytać, a poza tym nudzi ją towarzystwo innych? I tak dość, że będziemy musieli oglądać swoje gęby codziennie.

- Muuu. - Odpowiedziała Berta i już nigdy więcej nie było dane mi usłyszeć, jak przemawia ludzkim głosem. Jak się później okazało cierpi na boantropię, niezwykle rzadką chorobę, która dopadła ją w latach młodości i po dziś dzień każe jej wierzyć w to, że jest krową. Co za blamaż! Właśnie zaproponowałem krowie wspólne czytanie!

Aurelia, chichocząc, chwyciła mnie za rękę i odciągnęła od Berty, która zdawała się właśnie przeżuwać kolejne źdźbło trawy.

- Nie martw się, Lambercie, na początku też nie wiedziałam jak się zachować.

„Czasami boisz się, że świat eksploduje z hukiem a wraz z nim twa głowa

Wykuta z brązu jak antyczna tarcza.”\* Ale twoja głowa to nie tarcza, nie eksploduje. Do Berty mów jak człowiek do zwierzęcia. Wyobraź ją sobie na łące wśród innych krow, podejź, nakarm ją i pogłaszcz. Czasami kopnie, ale jest dość słaba, więc nie powinno być groźnie. Pamiętam, jak kiedyś Histrion, zdernerwowany faktem, że Berta jest tak mało ludzka, podbiegł do niej i kazał sta-

nać jej na dwóch nogach. Berta zamuczała wtedy przeciągle i kopnęła go tylnym kopytem, nerwowo kręcąc zadem. Uważaj na nią. Kiedy krowy są złe robią się naprawdę agresywne.

O!!!! Jest i nasz aktor! Histriooooonie! – Zawołała Aurelia, a jej twarz przybrała jakby teatralny wyraz.

Zobaczyłem młodego, przystojnego mężczyznę, który zszedł ze stojącego pod oknem drewnianego podestu i frywolnie podskakując, zbliżał się do nas.

– Dzień doooobry pięknej paaaaaani! – Jego głos był głęboki i tubalny. Podszedł do Aurelii, uklęknął, po czym wstał i pocałował ją w usta.

– Co robisz, Histrionie?! Tak się nie godzi!

– Przecież, wiem, że młode damy jak ty potrzebują czasem męskich czułości. Daj się zaprosić na małą kawę Aureliooo! Porozmawiamy o życiu, zażyjemy trochę świeżego poowietrza, a później, piękna pani, zaproszę cię do mojego pokooouju. Tam spotka cię niesamowita rozkooosz. Aż dziw bierze, że moje łóżko jeszcze się nie rozpadło od codziennych fiiiiiiiiigli!

Miał coś w sobie z aktora, z tym swoim nazbyt teatralnym wyrazem i przeciąganiem samogłosek w każdym z możliwych miejsc. Aurelia podeszła do niego i wymierzyła mu policzek, którego ślad miał nie schodzić z jego zdziwionej twarzy przez kolejne dni. Histriona do szpitala sprowadziła jego prowokacyjna seksualność i przesadny wyraz emocjonalny, które to zaniepokoiły kolegów z pracy, mianowicie aktorów teatru ze wsi Siemionow. Zostawiliśmy Histriona, który zwoływał resztę kolegów i personel na przedstawienie. Drewniany podest ustawił już na środku Sali Spokoju, witał „zebranych, miłych gości” i zapowiadał „Sztukę nad sztuką” – autorską adaptację „Dumy i uprzedzenia”. Nie wiedziałem jak monodram zdoła udźwignąć wielość postaci, ale Histrion zdawał się być sobie największym, jedynym aktorem.

– Przedstawię ci jeszcze Oliwiera. Pewnie jest w swoim pokoju. – Powiedziała, jeszcze wzburzona zachowaniem kolegi, Aurelia, prowadząc mnie przez korytarz. W tle słychać było przeciągane samogłoski i tubalny głos Histriona. Dotarliśmy do pokoju numer sześć – niewielkiej izby zamieszkiwanej przez starego człowieka, którego plecy uginały się już od ilości przeżytych przezeń lat. W oczy od razu rzuciła mi się ilość przedmiotów, które ten biedak zdołał zgromadzić na tak małej przestrzeni. Były tam stare gazety, głowy porcelanowych lalek, widziałem też stare walizki i skórzane nesesery, a także, co mnie niezwykle zdziwiło – wypchany łeb jelenia. Oliwier niechętnie odwrócił się od wykonywanej czynności i z bladym uśmiechem powitał nas takimi oto słowami:

– Dzień dobry, ty pewnie jesteś Lambert, słyszałem jak Berta wymuczała na stołówce twoje imię. Witaj na pokładzie, jestem Oliwier. A teraz wybaczcie, najdrożsi, ale muszę posegregować moje medaliony.

Aurelia wyjaśniła mi podczas kolacji, że Oliwier ciągle coś kolekcjonuje, a później całymi dniami porządkuje i czyści. To przeszkadzało mu w „normalnym” życiu poza szpitalem. Tu podaje się mu leki i żywi nadzieję, że Oliwier uporządkuje kiedyś wszystkie swoje rzeczy, a później swoją głowę. Aurelia powiedziała, że co tydzień odwiedza go trójka dzieci, które bardzo tęsknią za swoim tatą i jego żoną – Amelią, której ciężko jest żyć samej.

Wieczorem, kiedy kładłem się do łóżka, a płatki śniegu, dostając się przez otwarte okno, spadały mi na głowę, słyszałem dzikie muczenie Berty i krzyki Histriona, którego pielęgniarze musieli zakuć w kaftan i podać środki dożylnie. Biedak nie chciał zejść ze sceny, po tym, jak rozległy się brawa. W nocy obudziło mnie jeszcze wołanie Aurelii, która krzyczała coś o „wytapianiu sadła heretyków i wypędzaniu Żydów.”\*

Tak skończył się mój pierwszy dzień na oddziale dla psychicznie i nerwowo chorych. Dzień piękny, grudniowy, spędzony w towarzystwie poetów, aktorów i krów. Muuuszę wypocząć.

Kolejne miesiące mijały w podobnym rytmie. Rano śniadanie, porcja leków, zajęcia grupowe, terapia przez taniec, konsultacje z lekarzem. Później była pora na obiad, czas wolny, kolację, kolejną porcję leków, a wreszcie – sen. Albo brak snu. Wszystko zależało od tego, czy Berta akurat zechciała wypasać się na łące, a Aurelia czytać poezję Plath. Marzyłem o wielkiej rebelii, chciałem, żeby szara rzeczywistość przełamana została wielkim buntem, który pozwoliłby nam przejąć szpital i żyć po swojemu. Nie było nic złego w moim kapeluszu, muczeniu Berty, czy skarbach Oliwiera. Codziennie spotykaliśmy się z niezrozumieniem ze strony personelu szpitala, który starał się nam wmówić, że ludzie to nie krowy, a my cierpimy na zaburzenia, z których trzeba nas wyleczyć. Konieczność uwięzienia personelu szpitalnego wkrótce stała się dla mnie oczywistością. Pierwsza narada buntowników odbyła się w szpitalnej piwnicy, do której kazałem zwołać Aurelii Oliwiera, Histriona i Bertę. Marcowego poranka w podziemiach pierwsza pojawiła się Berta.

- Muuuuu. – przywitała się, kręcąc zadkiem.
- Dobra krówka. – Przywitałem się, klepiąc ją po zadku.
- Bertooooo! Lambeercie! Cóż za zebranie! Przed liczną publiką wystawiałem właśnie moją najnowszą sztukę, kiedy Aurelia poinformowała mnie, że czekacie tu na moją osobę! – Krzyknął Histrion, przekraczając masywne drzwi podziemnej sali.
- Histrionie, szykuje się bunt! Chcemy uwięzić personel i żyć tak, by kurtyna zawsze pozostawała odsłonięta! – Odpowiedziałem, licząc na to, że przekona go wizja wielkiego teatru, którego drzwi zawsze pozostają otwarte.

- Lambercie, Berto, Histrionie! Już do was pędzimy! - Dało się słyszeć echo niesione podziemnymi korytarzami.

Zzianą Aurelia i Oliwier, z zawieszonym na szyi starym, wysłużonym już aparatem, wbiegli do sali. Wyjaśniłem im, jaki jest plan. Mieliśmy tylko tydzień na przygotowanie buntu, bo przejęcie szpitala miało być akcją przeprowadzoną błyskawicznie, acz skutecznie. Oliwier zwołać miał personel do siebie i prosić o pomoc w polerowaniu starej, saskiej porcelany. Berta miała udawać, że pasie się na łące, co było najłatwiejszą częścią planu, jako że rzadko robiła coś innego. Ja, Aurelia i Histrion, mieliśmy ukryć się za stertami rzeczy zgromadzonych w pokoju Oliwiera i zaatakować, kiedy przyjdzie na to czas. W rękach mieliśmy mieć strzykawkę ze środkami powodującymi ośpienie, które Berta miała wynieść w pysku podczas codziennych oględzin w gabinecie pielęgniarki. Niezwykła wrzawa rozpętała się w piwnicznej sali, po tym, jak przedstawiłem zebranym plan.

- Wolność słowa dla teatrów! - Krzyczał Histrion. - Koniec z cenzurą! Sztuka dla sztuki!

- Niech żyje nowe życie! Niech żyją przedmioty jeszcze nieodnalezione! Niech żyją latarki, znaczki, latawce i kompasy!!! - W ferworze wrzasnął Oliwier i rzucał na ziemię aparat, którego soczewka się roztrzaskała.

- „To cud, który zbija mnie z nóg!”\* - Radośnie zakrzyczała Aurelia.

- Muuuuuuu!! - I Berta dołączyła się do ogólnej wesołości.

A ja wiedziałem, że będziemy wolni. Szykuje się bunt!!!

*Z karty pacjenta Lamberta Ciechowskiego:  
15.03.1985 r.*

*Pacjent Lambert Ciechowski został przyjęty na Oddział Psychiatrii Sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu nr XV w Toszku dnia 15.03.1985 r. Po dokonanej zbrodni pacjent nie wykazywał skruchy, wypowiadał się składowo i rzeczowo, co pozwoliło wysnuć przybyłym na miejsce zdarzenia lekarzom podejrzenie o pewien rodzaj psychopatii. Pacjent, po dożylnym podaniu leków stabilizujących, został przywieziony na ww. oddział, gdzie poddany został wstępnej diagnostyce medycznej. Po dokonaniu szeregu badań kwalifikujących, zgodnie z normami Światowej Organizacji Zdrowia, przy pomocy wykwalifikowanych medyków z Wojewódzkiego Zespołu Lecznictwa Psychiatrycznego ustalono, co następuje:*

*Pacjent wykazuje zaburzenia osobowości o zidentyfikowanym typie, nieznanym zaś podłożu i konfiguracji. Według kryteriów diagnostycznych Światowej*

Organizacji Zdrowia ICD-10 pacjent Ciechowski wykazuje kilka typów zaburzeń, przynależnych do tej samej grupy. Przeprowadzone badania jednoznacznie wykazały, że pacjent charakteryzuje się osobowością dys socjalną, o charakterze histrionicznym i anankastycznym. Zaburzeniom tym towarzyszy boantropia znajdująca się naprzemiennie w stanie zaostrzenia i remisji. W źródłach medycznych brak jest wzmianek o tym, by kiedykolwiek u pacjenta wykryto ww. zaburzenia współistniejące ze sobą. Z powodu braku jednoznacznej metodologii leczenia, pacjentowi zalecono farmakoterapię, stosowaną również przy zaburzeniach kompulsywno-obsesyjnych u dorosłych.

18.06.1990 r.

Światowa Organizacja Zdrowia wraz z Polskim Towarzystwem Psychiatrycznym po szeregu badań dokonanych na pacjencie Ciechowskim w latach 1985-1990 na Sympozjum Psychiatrycznym w Warszawie, dnia 18.06.1990 r. stwierdziła istnienie nowego rodzaju zaburzeń i nadała im osobną nazwę, wcieloną, z dniem dzisiejszym do kryteriów diagnostycznych ICD-10. Zaburzenie nazwano Efektem Matrioszki, pacjent Ciechowski jest pierwszą na świecie osobą, u której wykryto to zaburzenie.

Z dziennika lekarza prowadzącego

03.03.2001 r.

Pacjent zdaje się wykazywać kilka osobowości jednocześnie. Zauważono, że zaburzenia pojawiają się cyklicznie, w niezmienionej kolejności. Cykl rozpoczyna okres boantropiczny, w którym pacjent udaje zachowania zwierzęce, ściślej mówiąc, krowie. Po okresie boantropicznym zachowania pacjenta kwalifikują się do grupy zaburzeń typu histrionicznego. W epizodach tych jego zachowanie charakteryzuje się wzmożoną teatralnością, płytkością emocji i szybkimi zmianami nastroju. Po epizodach histrionicznych pacjent zaczyna wykazywać cechy osobowości anankastycznej. Cechuje się dbałością o szczegóły, perfekcjonizmem i kontrolą umysłową. W epizodach anankastycznych pacjent zdaje się segregować i porządkować przedmioty znajdujące się na terenie szpitala.

15.03.2001 r.

W ostatnich dniach zaobserwowano zmianę w zachowaniu pacjenta Ciechowskiego. Większość dnia pacjent, z własnej woli, spędza w szpitalnej piwnicy. Zdaje się, że doszło do zaostrzenia przebiegu szeregu zaburzeń i teraz występują one jednocześnie.

Z pamiętnika Lamberta.

16.03.2001 r.

„Panowie i Panie,  
Oto moje ręce,  
Moje kolana.  
Choć ze mnie skóra i kości,  
Jestem niezmiennie tym samym mężczyzną.  
Za pierwszym razem miałem dziesięć lat.  
To był tylko wypadek.

Za drugim razem  
Chciałem wytrwać po kres i już nie wrócić.  
Kołysałem się  
Jak muszla morska.  
Musieli mnie wołać i wołać  
I zdejmować ze mnie robaki przyklejone jak perły.

Umieranie  
Jest sztuką jak wszystko inne.  
Ja robię to niezwykle dobrze.”\*

\* Wszystkie cytaty pochodzą z tomiku: *Poezje wybrane. Sylvia Plath.* Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1988.

### III NAGRODA

## PAULINA MELCER

### TYLKO MÓW MI W TEN SPOSÓB

Resztką babcinych włosów, zawsze poifarbowanych starannie na kasztanowy kolor, leżała na poduszce. Resztką, która nie wydawała się teraz włosami, to przecież zwykle, pojedyncze kłaki, kręcące się siwe odrosty. Takie, co to przez nie prześwituje łysa głowa. Babci włosy nigdy nie były przecież takie kruche, takie zaniedbane. Zawsze równo przycięte, uczesane, wypryskane lakierem. Co chwilę babcia była u pani Basi, osiedlowej fryzjerki. Na litość boską, co to za ma znaczyć?!

Mama mówiła mi: Nieważne, przecież to tylko włosy, co to za różnica. Tu jest chemia, tu kroplówka, a tam tabletki. Na to patrz, a nie.

A ja odpowiadałam: Ważne, to aż włosy, to jest cholerna różnica. Tu powinien leżeć grzebień, obok powinna być farba. I pani Basia powinna tu siedzieć.

Ale nikt babci nie robi tu tych włosów, żaden fryzjer nie przychodzi przecież do hospicjum, nie podaje kubka kawy i nie pyta, jak dziś strzyżemy.

Chcę się skupić nad czymś innym. Nie patrz na włosy, może jak nie spojrzysz, to znów staną się zadbane. Spójrz na białą poduszkę. Wygląda na czystą. Na miękką w dotyku. Zrób to, dotknij. Jednak się myliłam, jest szorstka, jest stęchła, pełna robactwa. Tego samego, które wije się po kątach sali, które bzyczy za szarawą firanką przy oknie, które rozwija się w nas, pełnie w wnętrznościach babci. Zabierają ją, zżerają.

– Babciu, czy czujesz się zżerana? – pytam.

Kobieta otwiera powoli cienkie jak papier powieki, ale za nimi nie widać białe larwy, za nimi jest czysta, błękitna tafla, oczy pełna życia. Pełne chęci do czytania książek o Sherlocku Holmesie, do oglądania kolumbijskich seriali i krzyczenia na wnuka, który rozbił właśnie ulubioną figurkę Anioła Stróża. Przecież to czysty pech, Adaś, jak mogłeś to zrobić. Teraz nie będę miała Anioła, kto się mną zajmie?

To właśnie widzę w jej oczach. Babcia znów je zamyka, marszcząc się. Boli ją wszystko, wiem to dobrze, bolą dłonie, nogi, stawy, życie. To, które jej wła-



śnie ucieka, mknie i nie pozwala pofarbować włosów. Cholerne włosy. Przestań o nich myśleć.

Spoglądam na stolik stojący przy łóżku. Różaniec, bukietek najtańszych kwiatów od wujka, które zresztą zaczęły już wędznąć, no i babcina kosmetyczka. Kazała ją przynieść mojej matce, kazała ją wziąć, nic więcej nie potrzebuję – mawiała – ja chcę tylko pomadkę, tylko lusterko, proszę cię kochana, przynieś mi to.

Matki nigdy nie nazywała wcześniej „kochaną”, ani mnie, ani Adasia, nikogo oprócz swojego męża, on czasem był kochany, w ciemnościach, z dala od reszty oczu. Gdy muskał ją wargami po skórze, innej niż ta dzisiejsza, nie tak chorobliwej, nie tak pomarszczonej, wówczas był kochanym. Reszta z nas była dla niej tylko irytująca.

Dlatego matka spełniła prośbę, tylko po co, jak teraz kosmetyczka tak stoi tylko i nic, na tym stoliku hospicyjnym. Mama nie chciała malować babci, tylko troszkę, najwyżej bezbarwną pomadką ochronną, takie tam bzdety. Przecież nie wypada, to hospicjum. Tu ludzie umier... leżą chorzy, babciu. Ale babcia mówiła: Ta kosmetyczka tylko teraz tu jest, a powinna coś robić, jak ja wyglądam, wstyd.

Mama kiedyś rozmawiała z babcją u niej w salonie. Było to za czasów, gdy jeszcze babcia potrafiła wstać z łóżka i przejść bez problemu całe mieszkanie, krzyżeć na wnuczęta i malować paznokcie. I rozmawiały wtedy, w tych odległych czasach, o wyglądzie właśnie. Mama pytała babci:

– Mamusiu, tak pięknie wyglądasz. Jak ty to robisz?

Babcia przewracała oczyma, poprawiając sukienkę, jakby ta wcale nie leżała już na niej idealnie, bez zarzutu.

– Mamusiu – pytała dalej moja własna matka – W ogóle nie wyglądasz na swój wiek. Chciałabym być podobna do ciebie. Nikt by ci nie powiedział: Masz siedemdziesiąt lat. Powiedzieliby ci: Ma pani, nie wiem, z pięćdziesiąt. Tak pięknie wyglądasz, mamusiu!

Pamiętam tę rozmowę, bawiłam się serwetką leżącą na stoliku. Podniosłam wzrok i widziałam, że babcia obruszyła się wtedy, groźnie zmarszczyła brwi, przypominała mi jakąś boginię z szkolnej książki, tylko którą? Może była jakąś nową, groźną panią Aresową. Oho, zaraz będzie wojna!

– Nie jestem pięćdziesięciolatką.

– Och, nie! – zaprzeczała moja matka, kręcąc szybko głową – Wyglądasz na czterdzieści!

W rękę babci widziałam już miecz, który miał rozpocząć pierwszą bitwę.

– T-trzydzieści! – jęknęła pokojowo matka.

Suknia babci zamieniła się w białą, antyczną szatę, a za jej plecami rozległ się wrzask wojowników. Krzyczeli głośno, zachrypniętym głosem, powtarzali po babci, która właśnie wyznała mojej matce:

- Jestem dwudziestolatką. W duszy. Tak się czuję, wiesz?

Odrzuciła miecz i sięgnęła po szminkę. Matka kiwnęła głową, zmieszana. Wojny wówczas ostatecznie nie było, barbarzyńscy żołnierze zniknęli.

Ale gdyby wojna była, stanęłabym po stronie mojej nowej bogini. W moich dziecięcych oczach miała przecież rację, była ona dwudziestoletnią pięknoscią, zadbaną i pełną godności. Zawsze była wymalowana, odstrojona, pachnąca. Miała w swoim mieszkaniu nawet pokój, gdzie trzymała wyłącznie toaletkę i letnie sukienki. Calusieńki pokój sukni tylko na ciepłą porę roku, tak dużo ich po prostu miała.

I zawsze się w jedną z nich ubierała, jak miała oglądać swój serial, nie wiem jaki, nie pamiętam. Ale malowała się też do tego, usta na czerwono, tak jak główna bohaterka. Zerknęła na nas swoimi wymalowanymi oczyma, trzepotała rzęsami, zmarszczki próbowała tuszować podkładem. I syczała, żebyśmy nic nie mówili. Milczeć, dzieci, gra serial. Sza!

Siedziałam wtedy z Adasiem i gapiłam się na babcie, bo wyglądała ślicznie, dość młodzieńczo, zaskakująco inaczej niż inne babuleńki spotykane na ulicy. I pachniało od niej zawsze perfumami, które kupowała w osiedlowej drogerii. Całe jej mieszkanie tak pachniało.

Tu, w hospicjum, jedynym zapachem był odrzucający, nachalny zapach lekarstw. I jakby lekki odór fekaliiów. I to było dziwne, takie obce, no i do tego te siwe włosy, ten brak makijażu i zbyt długie paznokcie u rąk. Babcia nie była babcia, była kukłą leżącą na materacu. Jak ta kukła zasypiała, to sala zmieniała się w plan filmowy; jakiś kostiumograf przychodził ukradkiem i do kącików niewymalowanych ust dodawał kilka kropel śliny. Wizja reżysera, tak musi być. I ślina ściekała po kukle, odbierając jej całkowicie klasę, z którą by mogła się kojarzyć ta babcia prawdziwa, z krwi i kości, nie ta ze sztucznej kukłomasy.

Nagły wdech i kukła się przebudza, z jękiem otwiera przestraszone oczy. Znika plan filmowy, a ja chwytam za chusteczkę i wycieram tę ślinę i znów mam babcie, chociaż nadal nie tę, którą zapamiętałam. I ta wersja trochę śmierdzi moczem, zamiast dawną mieszanką wanilii i czegoś egzotycznego. Ta wersja patrzy się na mnie błękitnymi oczyma, a ja ściskam ją za jej pomarszczoną dłoń, ostrożnie omijając miejsce, gdzie podłączona została kroplówka.

- Chcesz może pić? Mam kogoś zawołać? - pytam, a babcia się rozluźnia.

- Nie - mruczy - Chcę do Lęborka, do domu. Chcę lodów czekoladowych.

Bo te lody od Wenty, cukierni na deptaku, były babcie ulubionymi. Tam właśnie - z tego, co opowiadała, gdy jeszcze opowiadać miała siłę - na lodach spotykała się z dziadkiem za czasów panieńskich. No i nie tylko z dziadkiem, wcześniej było ich wielu, tych niedoszłych dziadków, z każdym chodziła na lody do Wenty, potem poprawiała wargi czerwoną szminką i szła z nimi na spacer po miasteczku. I wiele lat później, już po wybraniu odpowiedniego dziadka,

mnie też zabierała na lody, po drodze do fryzjerki. Dbała w życiu o te dwie sprawy: o lody czekoladowe i włosy.

- Znowu te przekłete włosy! - ryczę.

Babcia pytająco spogląda, ja potrząsam głową, nic babciu, to nic, milczeć, sza, zaraz serial leci.

- Włączę ci telewizor, dobrze? - rzucam i włączam. I babcia patrzy, wbiła wzrok w ekran, w czerwone wargi swojej ulubienicy, natomiast ja wbijam wzrok w nią, w jej szarą skórę, bardziej szarawą od tych nieszczęsnych firan, co tu wiszą. Wypatruję larw, czy już się przypadkiem nie ruszają pod cienką warstwą skóry. Ale nic nie widzę. Potrafię dostrzec tylko to, że babcia wygląda na starszą niż kiedykolwiek, bardziej zmęczoną.

Raka wykryto u niej kilka miesięcy temu, ale zdążył pochłonąć ją całą. Nie ma już tłuszczu, miękkości, którą czułam, gdy się do niej tuliłam. Nie widzę zdrowej, jak na wiek babci, cery. Przecież babcia nie ma zdrowia, nie ma też siły, nawet nie sika sama, Chryste, pomoc jej trzeba nawet w tym. Ciągłe śpi przez lekaśta, które jej dają, chociaż przez sen czasem krzyczy, a wraz z nią krzyczę ja, krzyczy moja mama, krzyczy Adaś. Bo czujemy to, co ona, ten ból wypelza z jej ciała, wyparowuje z jej skóry i ciężko osiada na naszej, przez usta i nozdrza wchłania się w nasze płuca, wdziera się w naszą krew, żyłami podąża do serca, a my drżymy gdy babcia drży, kaszлемy, gdy ona kaszle, umieramy, gdy ona umiera.

Ona umiera...

Tylko jej oczy nie umierają. Ja to widzę.

- Co robisz? - pyta babcia, odrywa wzrok od ekranu telewizora, od jej ulubionej bohaterki z czerwonymi ustami. Spogląda teraz na mnie.

Biorę jej kredkę do oczu z kosmetyczki, która tylko stoi, gdy powinna przecież coś robić. Przerywam więc to stanie, biorę kredkę i przykładam ją do twarzy babci, rozkazuję jej: uwaga, teraz uwaga! I zaczynam malować, delikatnie, ruch za ruchem. Babci idą brwi do góry, ale nic nie mówi. Stara się nie ruszać. A ja sięgam po tusz do rzęs i kontynuuję, zrobię z ciebie bóstwo, babciu, nie potrzebujesz aniołka, tego co zbił Adaś, bo będziesz się modlić sama do siebie.

- Nie wolno tak mówić, nie wolno tak grzeszyć... - szepcze babcia, a ja dalej maluję w milczeniu, jej usta zaczynają błyszczeć, policzki dostają trochę różowego koloru, brwi stają się ciemniejsze.

Wyjmuję z dna kosmetyczki lusterko, koloru rubinu, jak usta babci. Usta rubinowe, serce diamentowe, to przecież brylant, nie kobieta. Patrzy w swoje odbicie, rozdziawia usta, dyszy trochę. Oczy szerokie, patrzą to na mnie, to w lusterko. Szuka tej staruszki, kukłowego podmieńca, który zabiera jej życie każdego dnia. Nie widzi go.

- Kochanie... - mruczy, a jej mrucnięcie sprawia, że drzę, że ciarki przechodzą mi po plecach. Pierwsza łza leci i jest wielka, chociaż nie wiem czy ta łza

jest moja, czy babci. Po prostu jest wielka, to wiem. W każdym razie stacza się po policzku aż na podłogę i zamienia w kałużę, a potem w powódź, sięga nam już do kostek, a potem aż na łóżko, na którym się znajdujemy, chyba razem utoniemy, ja i babcia, ja i babcia i kosmetyczka, tak, całą trójką utoniemy. Ale to miłe, to nie przeszkadza, chcę utonąć, babciu. Tylko mów mi: Kochanie. I nie rozmaż tuszu.



NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO  
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA  
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU  
GRZEGORZ BACZEWSKI

*I ujrzałem na niebie znak inny  
wielki i godzien podziwu*  
Apokalipsa św. Jana 15, 1

POCAŁUNEK

i ujrzałem na niebie  
usta gorejące

i pocałował mnie Bóg

namiętnie  
jak się całuje  
ukochaną kobietę

i wyszeptał mi do ucha

*wkrótce wrócisz  
skąd wyszedłeś  
do Źródła*  
zamknij się koło istnienia

i znikły usta gorejące

tylko na wargach  
ciągle płonie  
ognisty ślad  
po pocałunku

*Świat jest baśnią*  
Kartezjusz

## BAJKA

na ławce w parku  
ojciec z córką  
jedzą lody

i długo rozmawiają  
o ulubionych bajkach

zanurzeni  
w bajce istnienia

a lody ciekną, ciekną  
i życie cieknie, cieknie

*Co do mnie, nie wiem o niczym innym,  
jak tylko o cudach*  
Walt Whitman

## EPIFANIA

pod rozgwieżdżonym niebem  
wśród miliardów galaktyk  
przytłoczony wszechświatem  
i samotnością  
odczuwam nagle ciepło  
kota tulącego się do nóg

i nie wiem  
co jest większym cudem  
te galaktyki  
i kot  
czy to moje samotne istnienie



*A Bóg widział, że wszystko, co uczynił,  
było bardzo dobre*  
Księga Rodzaju 1,31

## ZDUMIENIE

za oknem  
pada śnieg

sójka przysiadła  
na gałęzi brzozy

*ileż w tym prawdy  
ileż dobra  
ileż piękna*

szeptą do siebie  
miliardy neuronów  
w moim mózgu

szeptą korzenie drzew  
tworzące podziemny internet

szeptą usta galaktyk  
czarne jak usta dzieci pełne jagód

szeptą duchy upadłe  
i te wierne Bogu

a On - milczy  
zdumiony własnym stworzeniem

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO  
ADELA KUIK-KALINOWSKA

NARODZĚNĚ

NarodzĚnĚ zěcô  
z wiôlgą, herosową sĕlą przěchòdzą  
z głąbòczim jākã i wiòldzim krzikã  
i ta co w bólach sã mǎczi  
i tegò co w bólach swòjima płucama  
dech zěcô bierze  
narodzoné  
z wòdów zěcô wiôlgą wałą  
przechòdô  
jakkĕ wòdĕ Martwégò Mòrza  
rozstąpiłĕ sã  
przed jaczim cĕdã  
jaczémù na miono  
Žěcé.

## PÒRÉNK

Pòrénk  
sadnął na mòji rãce  
biòlim gòłąbkã  
dół znac  
że to co òsoblëwé  
je z przódki  
je czësté  
bez rësë  
jaczi  
òdlecôł  
z mòjima mëslama  
jasnyma  
z letczim sercã  
gòłąb biòli  
z nôdziejã w dzóbkù drobnym  
ù skrzideł niósł pòrénk  
ten sóm  
ò jaczim jem snił  
i òstawił  
piórkò  
pòezji  
na mòjim òknie

## W MÒJIM ÒGRODZE

W mòjim ògrodze Smãtk dzys ùrządëje  
pitóm sã – co òn ù diòchła tam macy  
w mòjim ògrodze Smãtk sã przëzérò  
jaczé bë kwiòtczi wżac dlò siebie  
z tëch pòchnącëch słodką nóta  
a mie le òstawić mietlëcã, òst i piołun  
żebë mie żecé cygło do dołu.

W mòjim ògrodze Smãtk so szpacérëje  
baro sã mòjim żëcym czerëje  
le pùszczówka w rãkã chwëcã  
i tego kùndã wëgnóm za sódmã rzékã i górã.  
niech tam òstónie ten stòri zbója.

W mòjim ògrodze ju Smãtka ni ma  
gdze wasta wëcygnął – tego nicht nie wié  
le òn pòdstãpnik nie dô za wëgrana  
i bãdze szukòł nowëch przystani  
nowëch ògrodów i kwiatów jesëni  
bë sëpac w dëszã markòtnoscë i żale  
ò jaczych më nie wiémë wcòle.

W mòjim ògrodze dzys Smãtka ju ni ma  
jò sóm dbóm ò grzãdë i rëdzi kwiatów  
bë w nich nie bëło zelska i jinëch chwastów  
le sóm usmiëch i sëła żecò bëła ze mnã  
bë słuńce skrëło chmùrà grafitowã, cemną.

## KÒLIBIÓNKA

Kòlibiówka  
dlò knòpiczka i dzéwczątka  
biółi kònik na biegùnach  
z mléczną grzëwą  
czòrnym ògònã  
brunã ùzdã  
chwaczim drawã  
weznie dzeckò  
i pòniese alãze  
w górã w dól  
w dól i w górã  
na kùnc swiata  
gdze je chmùra  
co przëkriwò  
deszczu wiekò  
i òdmikò  
słùica parmién  
gwiôzdek skarnie  
ùkòlibie  
ùzybòce  
i knòpiczka, i dzéwczãtkò  
biółi kònik  
słodczy spik  
leno spij  
leno snij...

# NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO W LĘBORKU

## KRYSTYNA LEWNA

### PÉDA

*Wszëtczim białkòm na Kaszëbach!*

- Kòmùdno! - rzekła Stazja i szła dali. Lédze nie òbzërają sã za se, czë bütën je taczi lëft - pòmészlela, ale zëcé bëło jinsze: cémné, czòrné i mia wiele dzurów. Kòzdi sobie cos tam tłumaczòł, a òna zëła z dnia na dzéń i ni mia sële, zëbë cos z tim robic. Kòzdi mò swój zacht! Jeden wiëldzi, drédzi mòli. Wszëtkò cos zna, ale nie òna, bò co òna nibë mia znaczcë? Czim òna bëła; chtosz? Ale chto? Kò òna dobrze wiedza, ale zëce sa lëze jinema stegnamé niź bë czlowiek chcòł, a chcòlbë, zëbë to szło prosto a równo. Co to mò bëc? Takò ùdràka! Kaleczenié słów! A wszëtkò doch je prosté! Jasné! Kaszëbszcé i wònio chleba i chrusta. Co za wiëlgò krajemnota? Pludrowanié ò drédziech na ùlzenié dnia. A dzéń; dludzi i niepòci, wlék sã w nieskòńczosc. Jakbë gò chtosz proszòł, a ten sã dól nabrac. Kòzdo gòdzëna sã sëna jak nudle do zypë. Wszëtkò mia swój czas! Długò! Przë péckò sédzenié - długò!

- Wszëtczé më tak miele! - gòda Elwartka, ale dobrze wiedza, że Stazje zëce to nie blo zëce, le ùdràka, abò i co wici. To rozdrapëwanié jutrzacëch sã ròn; ledwò sã cos zagòł a ju dredzié je rozriwóné. Jak na kòle; wciġ nie wisz, co ce spòtkò.

Stazja ùrodzëła sã jakbë ze stòrą twarzą, bò derch tak samò wëzdrza; splotlé wlosë, ùrindzi z bursztyna i ùsmiech, jakbë nic niezdradzający, taczi pól-smich, abò smùtné przëtaknienié, jak kòł pùpë, chtërna derch wëróžo zadowòlenié.

Stòri Pipka przëją zrànkòwiné i wëdòł Stazja za Macka, chtëren doch miòł gbùrstwò i baro dobrze sã zapòwiòdòł. Pipka trzyczwiòł pò zràkòwinach dwa dni, ale bël z se baro ròd, bò w „dobre ràce” dówòł córka. Z czasu na dobroc wësza wszëtczim bòka, bò Mack pòkòzòł swòja rëchti netra; w nòrce chëcze stòja péda; wòli ògón - na bialka i dzecé, co bë gò kòzdi slëchòł, a bróń Bòże, zëbë bëło jinaczi! Péda - to bël znak rzàdzenia, wiëlgò mòc i téli.

Stazja, a jinaczi *Mòlo Mi*, bò tak òni na nia we wsë wòlalë, zakòcha sã w swòim Mackù, chtëren bël wësoczi i fòrsz, noszòł skòrzano, czòrno kùrtka

i jeżdżol na môtôrze Jawa. Kò wszëtczé biôłczy sã za nim ôbzyralë. Taczi zaradni a robòci, co to mò nowé bùdinczi wëstawioné z pùstaka, chòc na razie pòkrëtë to bëło papą, to pòzni sã na to, co wrzuci. Chlëwë fùl chòwë; mlëcznech krowów, celent i bùlów... Majątk, że blòs pòzadzroszczë.

Móló Mi czëła sã baro achtnionò. Wiôldzie wesele; kwiatë i riz na szczescie mlodim... Wszëtkò tak, jak trzeba. Blòs pòzni, czë òna mëlà kanë òd mléka i ji Mack derch gòdòł, że pòwinna je barzi szorowac, że to nie je tak, jak trzeba, że wszëtkò winno bëc wëbłenkrowné a nij, że to mò jaczi òsòd, że pòzni nie wisz czemù, òni ce ne detczy òd tegò biorą... Czëdë òn w nia rzucol kaną, òna zaczã krzëczëc. Przedzar ji skóra na kòstce i krew sã la. òna rzekla, że wszëtkò zrobila dobrze, ale òn jakbë nie wierzol i rzucol kaną jesz rôz ò gãk. Wëła sa mlékò, a òna szla w chëczë. Czëła sa nijak, tak jakbë ja chtosz bùdzol z jaczëgòsz sniënia, ale òna – ùchwòconò nokcamé szczescia nie chca wëpùścëc, bò wierza w milota. Ta milota, ò chtërni tëlì czëła, że mùrë przëniszo, że wszëtkò mòże i na kùncu, że nawetka smierc pòkònejë.

– Stazja, czë të jes glupò, czë mòże ze mną je cosz nié tak? – spita sã ja ji mùter, ale ta spùszczëła òczë i rzekla, że bdze mia dzeckò. Tere ju nie bdze tak, jak rechli... òn bdze dbòł... Kò to doch je czlowiek! – doda Móló Mi, ale sama nie wierzëła, że òn sã zmieni.

Jedno, drëdzie, trzecé dzeckò niczegò nie zmienilo, blòs pòjawila sã péda, chtërna stòja sztolc w nòrcie i nibë tak na kòta...

Kòtów Mack niénawidzòł, gòdòł, że mają mësżë lapac a nij pò stole lazëc. Darmòzjadë! – wrzëszczòł. Temù tëż Stazja wiedno òpasowa, żebë òn blòs na zòdnégò kòta nie trafiòł, bò zare gò chwòcol i rzucol na dach. Zwiërze jãcza i skòmłà. Bòja sã wësekòscé. Mia pòdkùloné ògón i szuka drodзи na dól. Stazja bra drag i pòdstowia gò kòtu, chtëren schòdol òstròżno i pòmálé.

– Nie rëczeta! – rzekla do swòjch dzëci, chtërnim zòł bëło zwiërzątkà. – Kòtë sã mądre i wiele mògą strzëmac – dopòwiòda.

Wieczorë tëż nie przënoszalë ji zòdnégò wëtchnienia; zanim przëszla òd dojeni krów i pòsprząta w kùchni, a pòzni jesz w łaziencie, te ju ni mia sëlë, żebë zmówic pòciorza. Czasa ji sã snilo, że ja derch gònią i wrzëszczą: Stazja! Jesz tegò ni mòsz zrobiony?! Stazja! A z tim czëdë chcesz sã zmierzëc?! Pò taczi nocé bùdzëła sã zmòkło i mëdech. Ale kórë pielë i bùdzëlë bialka. Ta zos zwiekla sã z lóžka. Wszëtkò zaczina sã òd pòczątkù.

Tere bële żniwa. Mack miòł wici robòtë i nerwów. Derch wrzëszczòł, że wszëtkò jidze za pòmálé, że wszëtcë sã zgnili i niéùkleczni... Stazja schòda mù z òczy, ale òn i tak ja wiedno namierzòł i sã na nia wëdzar, że to przez nia jima tak pòmálé jidze, że òna za malo robi, że je derch prosny...

– Të do mie gòdòsz, jak do zwiërza! – òna sã òdwòzëła mù òdpòwiedzëc i tim samim pòczëła péda na swòji skòrze. Mack òmieszòł ji prosto przez gãba.

I rzek, że ni mô wici mù pëskòwac, że jegò to nie òbchodzi, co òna mô mù do pòwiedzeni, òna mô robic i nick wici! òn tu na wszëtczech nie bdze sã ùrobiòl, òn téz le blòs je czlowieka i nie òbchòdzi gò w jaczim òna je stanie, ni mô sã cążã zaslaniac. òd terò mô sã zapamiãtac, że pëda nie je blòs na kòta!

Stazja òbëdzdra sã w szpëglu; wòlo skóra przëdzarla ji lesena, kòl òka bël mòdri, spùchli plachc, chtëren nabrzmiwòl i zachòdol na brwia. Pòlòzëla na to rãcznik òmòczoni w zëmni wòdze, ale to jakbë wcale nie ùjmòwa bólu.

W sobòta Mack sã ògòlòl i czësto òblek. Chwòcol swòja skòrzanò kùrtka.

- Gdzé të sã wëbiròsz? - spita sã gò Stazja, ale ten ji òdpëskòwòl, że ni mô sã jinteresowac.

- Aùtòlo më bë mògle kùpic, te jò bë sã mògla z tobã wëjachac - òna napòmkla, a ten ji, że dziere chòdzą piechti, że ni ma jesz tak dobrze, abë chtosz swinszcze stwòrzenia wòzol.

- Të nie jes zòdnã kròlowò! - òn dodòl i òdjachòl.

Kòl dredzie mòtór wjachòl na pòdwòrze. Mack włòz w łazienka; zaczą smrodzec, a pòzni szed sã legnac.

Reno Stazja zos mùszela pò nim sprzątac, jakbë òn sã nigdë nie nauczol robic tegò sòm. Noprzòd òstawiòl wszëtczé mòkré lumpë a tere òsmrodzony cali szitòz. Sòm baro lubiòl czësto. Wiedno pòwtòrzòl, że to swiadczi ò czlowiekù czë w chëczach je pòsprzątoné, czë nij.

Kòl jednosté gòspòdòrz sã wëgramòlòl z wérów i rzek, że je niedzela i do kòscola trza nykac.

- Jò dzisë nie jida! - rzekla Stazja, bò je za ceplò i jò sa nie czëja dobrze.

- Ne nie zmuszaj mie, zëbë jò ce jesz mùszòl do kòscola proszec! - wrzas Mack. - Kò të doch ni mòsz nick jinszgò do robòtë! Chto bdze pòzni dbòl ò twòje zbawienié? Co të rzeczesz Bògù; że ce sã nie chçã?!

- Ale jò ni mòga sã pòkazac z takã mòdrã gãbã! - òznajmila *Mòlò Mi*.

- Mòżesz, mòżesz! Staniesz sa w krefce, nicht nie zàuwaži, a nie zmuszaj mie, zëbë jò ce jesz mùszòl pòprawic.

Stazja zapakòwa jedno dzieckò do ùzika, a dwòje starszëch szlo stronã niegò. Droga kòscélnò wëdowa ji sã piekielnie dlugò i mączącò. Nodzi sã pùrgalë w piòsku a kòla ùtikalë co sztòcek w tim mitczim piòskòwim pùlwrze.

Kòl kòscola doszed ja glos mòtòre, to bël Mack, chtëren téz na mszò przëjachòl.

*Mòlò Mi* stana sa w krefce i òpiarla pùkla ò zëmno scana. Chlòd cegłów przëchòdòl na ji zmòklé calo. Blòzka klejila sã róz do ni, róz do scanë i to spròwia ji perna ùldzi. Przed kùnca mszë, Stazja wza dzecë i wëszla z kòscola tak, zëbë sã nie mijac z zòdnémé lëdzama, zëbë sã ji blòs nicht nie pitòl; co ji sã sta w gãba. Spùszczëla glowa i przëkarowa przez wies, pòzni, jak ju sã dosta na „swòja drogã” mògla leb pòdniesc. Dzecë nie rozmielë tegò, że nie dostelë nick miòdnygò



do pice pò kòscole, bò to doch bëło noważniszé w tim wszëtczim, że wiedno w niedzela Stazja kùpia jima pò wieldzi bùdli òranżadé.

- A dzisé më nie jidzemé do krómù! - lamentowalé.

- Na dregò niedzela, jò wama kùpia pò dwie bùdle pica, ale tere më są mùszimé perna pòspieszëc, bò doma je fùl robòtè.

Prze stole Stazja zaùważëła, że ji Mack mò pògrezlé calo szëja i spita są gò, gdzie òn wczora bël i chto mù ne milosné znaczi zrobiòł?

- Ne chyba nij tè! - òdrzek ji frech i dali jòd zypa z kùrè.

- Co za knur! - pòmészlela Stazja, a serce ji zabòła. - Co jesz òna bë mògła robic? Kò wszëtkò doch krąci są blós wkòł Macka i jegò gòspodarstwa. òna doch są nie liczi, ale zebè òn są jinszo baba nasztramòwòł? Kò to doch je ju za wiele.

Stazja wsta òd stole i szla sa sadnąc pòd klón w cenio.

- Tè môsz dobrze - rzek złosléwé chlop. - Ce są nawetka nie chce pò pòlniu pòsprzątać! Taczé zgnilé babskò, blós bë sędza a òdpoczywa. Jò sa wżà niegòdżeusza!

*Mòłò Mi* nick na to nie rzekła. Nie chca ji są z głëpca gadac. Wësza z chëczów i szla sa sadnąc pòd stòri klón. òpiarla głowa ò bùmà i zamkla òczë. Slëcha brzáczenia òwadów i gdokania kùrów. Wiater letkò zawiwòł céplim, letnim lefta. W brzëchù pòrészelo są dzieckò, a òna pòsmùka je swòjeme zrobialémè räkame.

- Żebè tè blós wiedzòł, mój mòlkù, jak tu je? - rzekła pòcechù do se - zebè tè le blós wiedzòł? - doda. - Żebè tè blós nie blelo dzewczã, blós nie dzewczaã... knòpi mają lzi.

Pòzni zneka sa mùcha z nogów, chtërna ùpiarcé ja drenzela. Pòsmùkna swòje lëdcki i wëczëła nowégò żëłaka. Terò wiedza czemù to ja tak szpére swádzële a pieklë. Jesz jeden żëłak wëwaloni na wiëzch, nabrzmiòli i mòdri wil są swòbòdno midze wlosamé, chtërne chca sa zgòlec, ale Mack schòwòł przed nią swòja maszinka do gòlenia.

Z negò rozmészłania wërwòł ja krzik dzeci, chtërne wòlalé mëmè na ratënk, bò kòt..., bò mia ju przëczadzëc i òbezdrzec, co są z jich kòtkã sta.

Stazja ni mògła w to ùwierzëc; Mack òkłodòł kòtka pédã. Pùfka są ju nie rësza, le òstatniémè sëlámé kladla lepk na pòdłoga, a ten jesz to zwiërzã bil. - Nie bdze mie tu lazol pò stole i z talërzi zlizywòł! Jò nie jem żóden pies i pò kòtach nie bda jòd!

- Daj pòkù! òstaw! - wrzëszcza Stazja, ale ten nie zwròcòł na nia ùwòdzi.

- To je twòja wina, bò miast sprzątać pò pòlniu, te tè sa szla pòd bùmà sadnąc! Zgnilé, szczerzaté babskò! A jò tu! Jò sa dóm rada! Jò wama wszëtczim ne rozëmè wëproszcza!

*Mòłò Mi* chwòcela kòta, ale Mack ji gò wërwòł i czadzol z nim prosto w gnój: - Tam je jegò plac! - dodòł i òdpòlol mòtór.

Dzecë zdrzelë na leżącëgo na gnoju kòta i baro krzëczëlë. Chcëlë pò niego lezc, ale wkól bëło fùl juszi i Stazja zakòza jima tam wlażac.

Pòznim pòpòlnia wczwòrda sa stòrò Pipkòwò, bò ji bialczy na rózańcu gòdalë, że Stazja mia czësto mòdro gąba.

- Alaweter, dzeckò - rzekla stòrò - co òn ce zrobiol?

- To nic, to ju są rozchòdo! Dobrze, że òn mie òka nie wëtłuk, te to bë dopirze bëło - òdpòwiedza *Mólò Mi* i wza stòrò do kùchnie na kawa.

- Jò nie przësza na kawa, jò blòs bëła cekawò czë ne babë nie zmiszlają, bò tè wisz, to ju terò całò wies gòdò, że òn ce miòł pòbite. Za czim tè dzisë do negò kòscola lazla? - spita są stòrò.

- Bò òn mie kòzò!

Dzecë przëstąpilë do Pipkòwe, ale ta pòsznekrowa pò taszach i rzekla, że jima nick nie przeniosla, że nie bla w zòdnim krómie i nick doma ni mia. Dzecë ja zaprowadzëlë do kòta, żebë òna chòc perna pòradzale, bò doch nie móże bëc tak, że jich Mimka na gnoju lezi. òni bë ja zakòpalë i pòzni pamiãtale, gdzie je zagrzebòno, a tak na nim gnoju..., chto bdze pòzni wiedzòł, gdzie i w ògòle.

- Co to mùsi bëc za serëlc, żebë cosz taczigò zrobic! - rzekla stòrò, ale pò zwierzë na gnój są nie da. Mia strach, że wpadnie w jucha a są jesz ji napije.

- Pò Mimce chòdzą mùchë, wez cos z nimé zrób! - proszëlë dzeccë, ale stòrò chwòcela je za rãce i zaprowadzëla bene. Pòmògla jesz Stazji wëdoic knadzi i zebra są pòd dodóm.

- Jò ce òdprowadza - zabëdowa *Mólò Mi*, ale stòrò dzàkòwa i gòda, że nie trzeba, że ta sa mò jisc lepi légnac, a òdpòczac.

- Jò ce òdprowadza tam, do przycznë drodзи, to nie je dalek - òznajmila i pòda stòri tak pòcechù szatka, żebë dzeccë nie zmerkalë a pòzni nie rzekle Mackòwi.

- Nic mie nie dawaj! - rzekla stòrò. - òn ce za to werznie, a to nie je tegò wòrt!

- Wez, a nie jiwruj terò, bò dzeccë mù rzeką, że tè z taszą lazla dodóm - òdpòwiedza pòcechù Stazja i przëložela wskazujący pòlc na lepe.

W taszi bëł wek zylce i dwadzesce jajów. Stazja wiedzla, że Pipkòwò mò dobré serce, ale nigdë nie trzimalë sa ji dëtczy, ni mia rãczy do gòspòdarzeni. Wëda wszëtkò w pòra dniów, jakbë miesac miòł dwie niedzele i zos żda za emerëtóramë.

Pòd kùnc drodзи bialczy są rozeszëlë. Stòrò rzekla „Z Bòga!”, ale pò tim, co dzisë widza, to ju sama nie wiedzla czë jesz to mò jaczi cwek to ji „Z Bòga”. Szla drawò dodóm, a w głowie ùkloda sa to, co swòjemù chłopù pòwi; czë mò mù rzec prowda, czë nij? Mòże gò lepi nie bdze denerwòwa? Mòże mù ò tim rzeczë, ale tak jakùsz pól prowde, abò perzna, a to ùdo, że wszëtczegò nie czula, abò zepchnie na swój slabi wid. Kò sama nie wiedzla, ale cosz rzec mùsi. - Żebë

blós nen ji sã nie zdenerwówól a jacziegòsz zawale nie dostól, abò co? – mészlela.

Nimczasu Stazja sadla sa na miedza. òbzyra zachòdząc sioneszkò i przëzyra sã mòdrekóm, chtërne òstëlë na ledzënie. W lepie mia szum. Wròcalë do ni słowa wëpòwiedzónë przez chlopa; *nieuklecznò, czidlò, nieporadnò, zgnilc, szmùra, niedoczegùs...* Słowa krążëlë pò głowie w jednym wiedzim wirzë i nie chcele nijak òpùscëc lepa. Bialka chwòcela sã za ùszë, jakbë nim szeka chca je zahamòwac, ale nijak to sã ji ùdowa. – Czë òna naprowda takò je? – pita sã same se pò cechù i ju sama nie wiedza, co bëło prowda, a co nij.

Czë doszla do chëczów ùrzasla sa baro, bò nie blo dzieci. Wòla je glosno, ale nicht nie òdpowiòdól. Wòla jesz barzi i òbeszla cale gòspodarstwo. Dziecë stojëlë kòl gnoju i òbmiszlalë, jak scegnãc swòjegò kòta.

– To bëla baro dobro kòtka – rzekla Stazja – takò łowno a czesto. Szkòda. Naprowda szkòda! Dziecë przëcesnëlë sã do mëmë, a ta pòsmùka je pò głowach.

Mack nie przejachòł dodóm na noc. Dopierze reno zaczą sã wëdzerac na pòdwòrzu. Zos tluk knadzi i rzucòł wambùrkame, jakbë jinaczi to sa nie da.

òb wieczór zos przëcesna do nich Pipkówò, ale tim raza Stazja nie bëdowa ji kawë, bò wiedza, że Mack nie lubi czë òna sãdzi z mòkã. – Jakbë tego te nie mògła chlapnãc tak, prosto, jednym szluka i lezc dali! – wiedno ji pòwtorzòł – co za łolër z jednã taskã kawë! Sedzi a së delektëje! Blós czas marnejë i nick wici!

Stòrò wza *Mòlò Mi* na strona i pòwtorzò, co we wsë ledzë gòdajã; że ten ji zajëjdzò do gdowë pò Michù, że òn sã tam rëchti, jakbë wprowadzol, że jezdzi z Michòwã na nim swòim mòtòrze, jakbë bël kawalera i ....

– Nie gòdòj mie ju tegò! – òznajmila Stazja – mie naprowda tëch nowòsców ju signie!

Ale wieczór Stazja òznajmila Mackòwi, że òn sã lechò fireje i że òna je w stanie wszëtkò strzëmac, ale nij ceze babë. Ten dostol szolu. Wrzëszczòł, że to wszëtkò przez na stòrò czarownica, chtërna tu dzise bëla, bidno i falszewò Pipkówò.

– Jò jem bialka stwòrzonò do kòchania! – rzekla mù *Mòlò Mi* i widza jak òn òbzyro sã za pëdã.

– Të szukòsz?! – rzekla rwònim glosa, ale ten nie spòdzywòł sã, że cosz ni mòże stojec na swòim placu.

– Bijã slabi! – rzekla i zamkla dwerze.

Pòzni czula, że òn wëjachòł mòtòra. òna krzëcza. Milota zëca! Wiëldzie co? ùpòkòrzenie i cãzar. Robota i piekło. Wszëtkò w jednym kòclu. Ale zòł ji bëło, że òn wëjachòł. W głowie railë sã mesle, chtërnych ni mògła ùspokòic; widza jegò i ja. Dwòje szczeslewech lëdzi. ùsmionéch i zadowòlonech z zëca, jakbë resztë nie blo. Mészlela, że ti noce pãknie w ni serce. Chwòca sã za lewò strona i tak ùsna.

We séwnikù ùrodzëła – dzăwcză. Rozrëcza să na ta wiadomòść. Bezradnosc z cerpiania pòrodowim mëleło ji w lepie. Przejacha dodóm i wëja dwùletno Agniesză z luziczka, żebë zrobila plac swòji sostrze.

– Nic nie jes wòrt! – rzek Mack – nawetka knôpa të nie jes w stanie ùrodzec!



# Blue Poke

Aleksandra Kreft

NAGRODA BURMISTRZA  
MIASTA LĘBORKA

PAULINA CZAJKOWSKA

U NAS WSZYSTKO PO STAREMU

- Widziała pani tego nowego, co wprowadził się do mieszkania po starej Wiczkowskiej? - pani Krysia zaczepiła panią Ulę na klatce schodowej i aż nie mogła się doczekać, by omówić tak ważne wydarzenie z sąsiadką z bloku.

- To chyba wnuk musi być, bo na syna to za młodo wygląda - odparła pani Ula, przekładając ciężką siatkę z zakupami do drugiej ręki. - Zresztą Wiczkowska miała tylko jednego syna, Jacusia, chodził do przedszkola razem z moim młodszym, więc ten nowy to na pewno nie może być Jacuś, za młody jest.

Pani Krysia pokiywała głową. Sama doszła do podobnych wniosków.

- Albo wnuk, albo Jacuś zdążył mieszkanie sprzedać i to jest po prostu nowy lokator. Ale dziwny jakiś - pani Krysia ściszyła głos. - Włosy ma aż do pasa, jak dziewczyna jakaś. Chodzi taki przygarbiony, mrukliwy, ledwo na dzień dobry odpowie. I wcale nie widzę, żeby gdzieś do pracy wychodził. Całymi dniami w domu siedzi.

- Wie pani - odpowiedziała pani Ula, która dzięki swoim wnukom miała trochę większe rozeznanie w dzisiejszym świecie. - Niektórzy to przy komputerach pracują i nie muszą nigdzie dojeżdżać. Siedzą tylko w internecie i nawet dzięki temu dobre pieniądze zarabiają.

- Taka podejrzana ta praca - pani Krysia pokręciła głową. Nie bardzo miała zaufanie do komputerów. Mąż jej kuzynki znalazł sobie kochankę przez internet i zostawił żonę, więc co nieco wiedziała o zagrożeniach internetowych.

Sąsiadki rozmawiały jeszcze przez dłuższą chwilę na schodach, a Feliks, wnuk starej Wiczkowskiej, podsłuchiwał je zza drzwi swojego mieszkania. Już kilka razy spotkał te dwie starsze panie i widział wyraźnie, że te chętnie wzięłyby go w ogień pytań, ale do tej pory zawsze udało mu się jakoś umknąć. Niezbyt miał ochotę na rozmowy z sąsiadami, zwłaszcza takimi, którzy znali się od lat. Co w sumie nie było zbyt trudne, bo blok był mały i mieszkało w nim raptem dwanaście rodzin.

Ale nawet taki Feliks, chorobliwie nieśmiały młody człowiek, musiał od czasu do czasu wyjść z domu i narazić się na konfrontację ze światem zewnętrznym.

Nie wszystko dało się zamówić z internetu, a i śmieci wypadało czasem wynieść z mieszkania. Dobrze, że nie miał psa. Musiałby z nim wychodzić przynajmniej ze trzy razy dziennie, a to byłoby zdecydowanie za trudne.

\*\*\*

Gdy Feliks zamykał ostrożnie swoje mieszkanie trzymając w ręku pełen worek ze śmieciami, drzwi z naprzeciwka otworzyły się na oścież i wyjrzał zza nich pan Jurek. „Jakby tylko na to czekał”, pomyślał Feliks. „Dosłownie jakby stał przez cały dzień przy judaszu i obserwował, kiedy tylko wyjdę”.

- Witam, sąsiedzie! - pan Jurek krzyknął jowialnie, poprawiając szelki opinające jego potężny brzuch. - Widzę, że sąsiad wychodzi właśnie ze śmiecia. To tak jak ja! - pan Jurek wyraźnie się ucieszył, że będzie miał towarzysza w drodze do kontenerów. Feliks uśmiechnął się krzywo i pokazał ręką, żeby pan Jurek szedł przodem.

- A sąsiad to wnuk starej Wiczowskiej, co? - zapytał pan Jurek, a gdy Feliks pokiwał twierdząco głową, starszy sąsiad dodał: - To taka dobra kobieta była i zmarło się jej, biedaczce. No, ale na każdego przyjdzie pora, a kostucha to lubi tu do naszego bloku często zaglądać - Feliks domyślił się tego. Na dwaście mieszkań w jego bloku osiem zajmowały starsze małżeństwa albo samotne babcie czy też dziadkowie. Oprócz niego byli tu jeszcze studenci i dwie młode rodziny z dziećmi. Prawie jak dom spokojnej starości.

- Wie pan - ciągnął pan Jurek. - Człowiekowi ciągle się wydaje, że ma dwadzieścia lat, a tu nagle budzi się jednego ranka i czuje, że tu go boli, tam mu strzyka. A przecież w planach był wyjazd na działkę i na zakupy na rynku, córka z zięciem na obiad miała wpaść. A tu sił brak. I tak się człowiek zaczyna zastanawiać, kiedy to on się zdążył zestarzeć... - panu Jurkowi jakoś tak dziwnie zadrżał głos, ale zaraz się opanował. - No, ale wy, młodzi, nie myślcie o takich rzeczach.

Feliks chciał dodać, że owszem, młodzi też myślą o takich rzeczach. Że boją się śmierci, nawet bardziej niż pan Jurek. Że przyszłość, czająca się za rogiem, czasami aż paraliżuje ze strachu. Ze strachu przed utratą pracy i zmianami politycznymi. Przed chorobami cywilizacyjnymi i utratą dostępu do najświeższych informacji. Przed globalnym ociepleniem i głodową emeryturą. Przed założeniem rodziny i nadążeniem za tym wyścigiem, w którym trzeba brać udział już od urodzenia, bo potem nie ma się szans, by nadrobić stracone kilometry. A Feliks w dodatku bał się jeszcze lekarzy, hałaśliwych i pretensjonalnych ludzi, rozmów z ekspedientkami w sklepie, brudnych poręczy w autobusie, pajaków oraz niemowlaków. Wielu rzeczy się bał.

\*\*\*

Jego sąsiedzi chyba się zmówili, by zagadywać Feliksa przy różnych okazjach. Dwa dni po rozmowie z panem Jurkiem do jego drzwi zapukała pani Bogusia. Feliks, przerażony tym, co od niego może chcieć ta mała staruszka z namalowanymi kredką brwiami, już miał nie otwierać drzwi, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Dzień dobry - powiedziała nieśmiało pani Bogusia. - Przepaliła mi się żarówka w łazience, a ja sama nie dosięgnę, by ją wymienić. Pomyślałam sobie, że pan jest przecież taki wysoki, że bez problemu da radę to zrobić - starsza pani uśmiechnęła się i wyciągnęła do Feliksa rękę z żarówką. Feliks, pomimo że aż spocony ze strachu, odparł, że nie ma problemu i poszedł za sąsiadką do jej mieszkania.

Gdy Feliks wymieniał żarówkę, pani Bogusia zaparzała herbatę i kroїła ciasto. Za nic nie dała sobie wytłumaczyć, że Feliks nie ma ochoty na herbatę.

- Z panią Wiczkową często odwiedzałyśmy się i wymieniałyśmy przepisami - powiedziała pani Bogusia, nalewając herbatę do szklanek. - Bo pan to wnuk jest, tak? - upewniła się i na potwierdzające kiwanie głową Feliksa dodała: - To taka dobra kobieta była, zupełnie jak moja mama. A jakie ciasta piekła!

Feliks oznajmił, że żarówka jest już wymieniona i niepewnie usiadł na brzegu krzesła. Pani Bogusia podsunęła mu talerzyk z ciastem, ale po chwili dodała:

- A może pan zjadłby chętniej obiad zamiast ciasta? Nasmażyłam schabowych, zrobiłam też mizerii - kusiła i nie dała się przekonać, że Feliks nie ma ochoty.

- Ale chyba nie jest pan jednym z tych homoseksualistów, co to mięsa nie jedzą? - zapytała nagle pani Bogusia groźnym głosem. Gdy Feliks odparł, że on mięso jada, pani Bogusia odpowiedziała uspokojona:

- To dobrze. Trzeba jeść mięso, żeby być zdrowym. Ale mógłby pan skrócić te włosy, bo ludzi pan w błąd tym wprowadza.

Feliks wzruszył tylko ramionami i spytał się pani Bogusi o jej męża.

- Nie ma go już od czterech lat - westchnęła pani Bogusia. - Taki spokojny, taki pracowity był. Wszystko w domu potrafił zrobić. I sąsiadom pomagał, gdy było trzeba. A teraz to nawet do głupiej żarówki muszę kogoś prosić, bo sama nie daję rady.

Feliks nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Sięgnął więc po kolejny kawałek ciasta i pochwalił, że jest bardzo dobre. Później tego żałował. Gdy wychodził z mieszkania pani Bogusi, dostał do domu pół blachy. A kolejne pół blachy czekało na niego trzy dni później, bo pani Bogusia tak się ucieszyła tym, że mu smakowało, że postanowiła regularnie dokarmiać go domowymi wypiekami.



\*\*\*

Jakiś czas później Feliks spotkał pod blokiem kolejną sąsiadkę. Była akurat odebrać starsze dziecko ze szkoły i nie mogła sobie poradzić z wniesieniem wózka od młodszego dziecka. Feliks zaproponował jej, że pomoże wtarabanić się tym wózkiem na piętro, a kobieta z wdzięcznością przyjęła jego pomoc. Feliks nie był pewny, czy dobrze postąpił, bo młodsze dziecko rozplakało się strasznie, a starsze zaczęło ciągnąć go za rękaw i pytać się, czy zna jakieś fajne gry. Do tego zamętu i hałasu doszło jeszcze szczekanie psa, gdy dotarli już pod drzwi sąsiadki.

- Mamo, a czy tata naprawił już komputer? - zaczął jęczeć starszy syn, a pani Monika, mama obu chłopców, odparła, że jeszcze nie. Potem wzdychając wytłumaczyła Feliksowi, że coś się popsulo w komputerze, a jej mąż nie bardzo ma czas się tym zająć. Starszy syn nie może się z tym pogodzić i ciągle im marudzi, by coś z tym zrobili.

Feliks, sam się sobie dziwiąc, odparł, że on zna się trochę na komputerach, więc jeśli mu pani Monika pozwoli, to może zerknąć, co tam się popsulo. Starszy z chłopców od razu przestał marudzić i ucieszony poprowadził Feliksa do swojego pokoju. Pani Monika podziękowała Feliksowi i dodała, że zaraz do niego podejdzie, tylko przebierze młodszego.

- Pan jest wnukiem pani Wiczowskiej, tak? - krzyknęła przez otwarte drzwi, gdy Feliks grzebał przy komputerze. Potwierdzającą odpowiedź Feliksa przyjęła jako gwarancję bezpieczeństwa swoich dzieci. Bądź, co bądź, wpuściła do domu obcego, dziwnie wyglądającego mężczyznę, ale wnuk pani Wiczowskiej nie może być przecież złym człowiekiem.

Mały sąsiad Feliksa, Julek, siedział przy Feliksie i dopytywał się szczegółowo, co Feliks właśnie robi, jakie kabełki łączy i co klika na ekranie.

- Na wypadek, gdyby znów się coś popsulo - wytłumaczył Feliksowi. - Wtedy będę mógł sam wszystko naprawić.

Feliks nie bardzo wiedział, o czym rozmawiać z dziećmi, ale Julkowi niespecjalnie to przeszkadzało. Sam zaczął Feliksowi opowiadać o grach, które ostatnio przeszedł, o rzeczach, które marzyły mu się pod choinkę, o kolegach z klasy, tych głupich i tych fajnych, o pani od matematyki, która za dużo zadawała do domu, o ich piesku Simonie, który potrafił zasnąć tylko przy łóżku Julka. Julek bardzo się cieszył, że znalazł w końcu dobrego słuchacza w osobie Feliksa, bo do tej pory miał często wrażenie, że ludzie niezbyt chętnie słuchają o jego, Julka, problemach i przygodach. A te były przecież równie ważne i często o wiele bardziej interesujące niż nudne opowieści taty z pracy czy też historie koleżanek mamy.

Feliksa peszyło trochę zaufanie Julka, a gdy ten na pożegnanie przytulił się do niego i spytał, kiedy znowu przyjdzie, Feliks nie wiedział co odpowiedzieć.

Po chwili dodał tylko, że jeśli Julek chce, to Feliks pożyczy mu grę, o której Julek tyle opowiadał. Feliks miał ją już dawno kupioną i uważa, że jest naprawdę super. Mama Julka podziękowała Feliksowi za pomoc przy naprawie komputera i wcisnęła mu do ręki paczkę kawy.

- To za pańską pomoc - uśmiechnęła się.

\*\*\*

W końcu również i pani Krysi z panią Ulą udało się złapać Feliksa pod klatką schodową, gdy ten odbierał od dostawcy pizzę. Chciał czmychnąć cicho bokiem, ale obie panie patrzyły się na niego ciekawie i ani myślały zrobić dla niego przejście.

- I je pan te niezdrowe wynalazki zamiast pierogów, co? - spytała się pani Krysia, a Feliks nie wiedział, czy ona tak na poważnie, czy żartuje sobie z niego. Odparł, że pizza nie jest taka zła i że może dać kawałek pani Krysi. Ta zaśmiała się serdecznie na propozycję Feliksa.

- Gdzie tam, będę potem chorować. Zresztą w domu czeka już na mnie zupa. Dzisiaj mój gotował - dodała z dumą, wiedząc, że mąż pani Uli nie jest w stanie nawet sam sobie chleba posmarować, a co dopiero ugotować coś ciepłego. Pani Ula pominęła uwagę swojej koleżanki milczeniem i spytała się ciekawie Feliksa:

- Wiczkowska to była pańska babcia, prawda? - niby wiedziała już to od sąsiadów, ale chciała się upewnić sama. Nieraz już Mareczek spod ósenki twierdził, że to jest stuprocentowo pewna informacja, a potem okazało się, że coś źle usłyszał i wszystko było kompletną bzdurą. Feliks pokiwał głową, a pani Ula uspokoiła się. Dobrze jest wiedzieć, co za ludzie obok mieszkają, a nic nie daje większego poczucia bezpieczeństwa niż znajomość rodziny swojego sąsiada.

- Ale sąsiad to chyba dalej kawaler - spytała zaczepnie pani Krysia. Szukała już od pewnego czasu kogoś dla swojej najmłodszej córki i pomimo że Feliks nie do końca spełniał jej kryteria idealnego zięcia to zawsze było warto spróbować. Wprawdzie jej córka twierdziła, że jest jej dobrze tak jak jest, ale co ona tam wie.

Feliks wzruszył ramionami. Jemu czasami było za tłoczno samemu ze sobą i póki co nie wyobrażał sobie dodatkowej osoby wokół siebie, ale przecież nie musiał tego tłumaczyć pani Krysi. Co ona tam o tym wie.

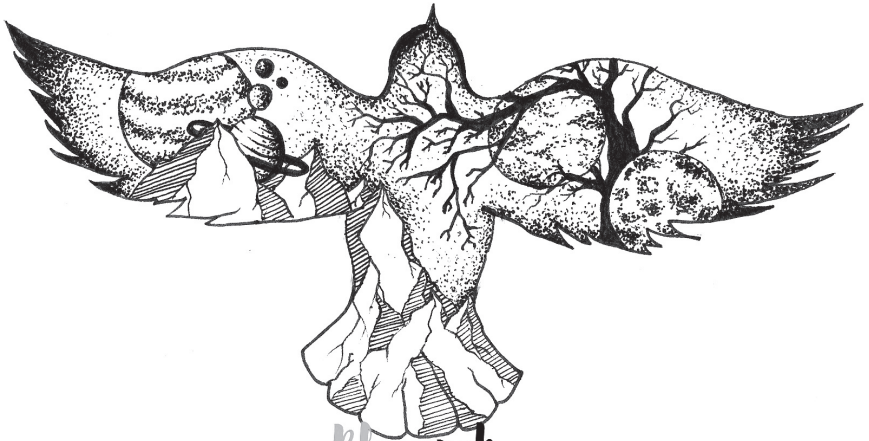
- Nic się nie bój, kochany - pani Krysia widać opacznie odebrała wzruszenie ramionami Feliksa. - Ja mojego też znalazłam późno, ale warto było czekać.

Obie sąsiadki życzyły Feliksowi miłego dnia i rozeszły się do swoich mieszkań.

\* \* \*

Jak to pan Jurek wspomniał, kostucha miała chyba kartę stałego klienta w bloku na Konopnickiej i po kilku tygodniach zapukała znów do jednych z mieszkań. Pan Gienek, schorowany, ale zawsze szeroko uśmiechnięty starszy pan opuścił swoje mieszkanie, w którym żył od ponad pięćdziesięciu lat. Pani Krysia z panią Ulą głowiły się, czy mieszkanie zostanie wystawione na sprzedaż, czy też może ktoś z rodziny pana Gienka się tutaj wprowadzi. Po pewnym czasie pod blok podjechał bus wyładowany kartonami. Feliks, który akurat wracał z zakupów, został zaczepiony przez panią Bogusię.

- Widział pan tego nowego, co się wprowadza do mieszkania po Gienku? Ciekawe, czy to jego wnuk. I czy będzie spokojny. Ciężko teraz o dobrych sąsiadów - westchnęła pani Bogusia i dodała, żeby Feliks pamiętał, że o piątej grają partyjkę makao przy serniku. Feliks uśmiechnął się na pożegnanie i po chwili wahania podszedł do nowego sąsiada spytać się go, czy potrzebuje pomocy przy wnoszeniu kartonów.



*Blue poke*  
Aleksandra Krefit

**Do druku przygotowała**  
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU  
[www.biblioteka.lebork.pl](http://www.biblioteka.lebork.pl)

Rysunki  
Aleksandra Kreft

ISBN 978-83-60731-28-4

**Wydano nakładem:**

Miasta Lęborka  
Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku  
Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

**Projekt składu i druk**  
DRUKARNIA BOXPOL  
ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk  
tel./fax 59 842 43 71  
e-mail [boxpol@post.pl](mailto:boxpol@post.pl)  
[www.boxpol.pl](http://www.boxpol.pl)